

Antologia SF

Różni

Książka XX z Stało się jutro



calibre 0.9.43

STAŁO SIĘ JUTRO

Gabriela Górska

Pereat mundus, fiat iustitia

Sprawa precedensowa

Błękitna Planeta

Pereat muodus, fiat iustitia

Ryk silników manewrowych „Aresa” ogłuszał, odbierając tę resztę przytomności, jaką Kenn jeszcze zachował pod prasą pięciu g, zgniatającą go w pneumatycznym fotelu, oślepiły, unieruchomiony

ubiorem kompensacyjnym, wsłuchiwał się bezradnie poprzez łomotanie własnego tętna w ten nie

milknący odgłos. Statek, od dziobu aż po rufę, dygotał wysiloną pracą hamownic; siła

aerodynamiczna okazała się niewystarczająca, na wysokości trzydziestu kilometrów od powierzchni planety szybkość wciąż jeszcze była zbyt duża. Nawet dla kogoś tak mało doświadczonego jak

Kenn było zupełnie jasne, że od dławiących się silników hamowania zależy teraz wszystko. Popełnił

błąd obliczając kąt wlotu w atmosferę; czegoś tam nie uwzględnił, czegoś, być może, nie dopatrył, nie wiedział — nie był przecież zawodowym pilotem. Od samego początku, od swego pośpiesznego

startu z ziemskiego kosmodromu, bał się, że popełni pomyłkę, której skutków nie zdoła już odwrócić.

Więc to, że ją popełnił, nie mogło go zaskoczyć. Najgłupsze było tylko, że zdarzyło się to w ostatniej chwili, gdy tak niewiele dzieliło go od pomyślnego zakończenia lotu.

A teraz automaty robiły, co tylko mogły, by wyciągnąć statek z krytycznego położenia. Zdołały

dokonać tyle, że szybkość spadła nieomal o połowę. Lecz gęstość atmosfery stawała się coraz

większa, poszycie grzało z każdą chwilą bardziej, nie pomagała osłona ablacyjna. Wskaźnik

temperatury zewnętrznej wyskoczył poza skalę; lada moment mógł zacząć puszczać pancierz. Kenn

zamknął oczy, było mu wszystko jedno; pod prasą deceleracji nie miał już nawet siły na strach. Źle widział, zresztą i tak nie było na co patrzeć; światła w kabinie pociemniały, ekrany zrobiły się całkiem czarne, zasłonięte blendami ochraniającymi je przed blaskiem ognia buchającego z dysz.

Trwało to długo. A potem ciężar wyciskający z niego ostatek oddechu zelżał nieznacznie, jednak

wystarczająco, aby mógł myśleć przytomniej. Wsłuchując się całym ciałem w wibrację kosmolotu

(teraz jak gdyby nieco mniejszą niż przedtem) pomyślał, że może, jakimś cudem, zdoła wyjść z tego cało. Silniki cichły, mógł już usłyszeć głuchy grzmot, z jakim statek przebijał atmosferę, i bliższe, histeryczne popiskiwanie przyrządów na pulpicie sterowniczym. Spróbował poruszyć głową i to mu

się udało; z wysiłkiem pokonując jej ciężar przetoczył ją po oparciu fotela, przez rzędniejący

półmrok wpatrzył się w tarczę wysokościomierza: od powierzchni planety dzieliło go zaledwie dziewięć

tysięcy metrów.

Ale i linia lotu nie przypominała już tamtej obłądnej krzywej, jaką był widział, nim wzrastające ciśnienie **odjęło** mu możliwość widzenia czegokolwiek. Kalkulator **obliczył** prawidłowy kąt wlotu i autopilot wprowadził wreszcie statek na trajektorię mającą umożliwić normalne lądowanie.

Piski przyrządów przechodziły z wolna w zwykły roboczy pomruk, wysoki brzęczyk pogotowia awaryjnego umilkł, milkły również jeden po drugim sygnały alarmowe poszczególnych zespołów — zdumiewająca po niedawnym pandemonium była ta nagła cisza. Kenn znowu przymknął oczy; tym razem zrobił to z ulgą. Leżał w swoim fotelu nieruchomy, z rozluźnionymi mięśniami, czując ich drżenie, nad którym nie potrafił zapanować, i oddychając wreszcie głęboko, na całą pojemność płuc; to było tak, jakby z każdym wydechem pozbywał się części własnego strachu — z którego zdał sobie sprawę dopiero teraz. Był jakby odrętwiały, nie czuł upływu czasu; nie dostrzegł powolnego zniżania się kosmolotu, przeoczył chwilę, w której włączył się silnik głównego ciągu, i statek — obracając się lekko wzdłuż osi — z przygłuszonym sieknięciem stanął na ogniu i zaczął schodzić pionowo w dół. Nie widział zmieniających się, teraz już trzycyfrowych, liczb podawanych przez wysokościomierz ani płonących przed samą tarczą zielonych świateł meldujących mu pełną gotowość amortyzatorów. Dopiero kiedy cztery stalowe łapy dotknęły gruntu i wparły się w podłoże, zagłębiając się weń pod swym ogromnym ciężarem, a pozbawiony napędu „Ares” zadygotał osiadając na tych podporach, Kenn poruszył się znowu. Tym razem mógł już zrobić to zupełnie swobodnie: ciśnienie było takie samo jak ziemskie. Przez chwilę patrzył z niedowierzaniem na pulpit sterowniczy, na którym tylko kilka niewielkich lamp kontrolnych smużyło bladym światłem, jak zawsze wtedy kiedy statek kosmiczny znajduje się w spoczynku. Nachylił się nad przednim ekranem, wypełnionym ciemnością nocy obcej planety — w jego odbijającej światło bezcieniowych lamp, lśniącej, lekko wypukłej powierzchni zobaczył odbicie własnej twarzy, obcej także, wyostrejzonej znużeniem i zmienionej wielodniowym zarostem. Był u celu, chociaż wcale nie wiedział, czy ten cel właśnie wybrał świadomie, czy też został mu on niejako narzucony przez zbieg okoliczności. Pochylił się mocniej jeszcze i oparł czoło o ekran. W ciszy wypełniającej nawigatomię słyszał odgłos

własnego tętna; nieznacznie

przyspieszony, coraz to mniej uchwytny, wtapiający się niemal całkowicie w tę ciszę.

A potem podniósł głowę gwałtownie, z jakąś niecierpliwością odpychając się jednocześnie obydwoma rękami od pulpitu. Przez chwilę siedział bez ruchu, bardzo wyprostowany, zanim z tą samą gwałtownością nie okręcił się do tyłu razem z całym fotelem. Wstał (zwolnione pneumatyki wypuściły go spomiędzy siebie z łagodnym sapnięciem) i na uginających się jeszcze trochę nogach podszedł do najbliższego burtowego ekranu. Tutaj widoczność była o wiele lepsza; ekran wypełniał rozległy i pusty krajobraz tej planety — bezimiennej, na której gruncie nie stanął dotąd człowiek — i która najprawdopodobniej pozostałaby w dalszym dągu dziewczica, gdyby nie jego, Kenna, szaleństwo, strach i determinacja. Stał i patrzył, póki ta sama determinacja nie pchnęła go ku śluzie.

To takŜe było szaleństwo, nie znajdował się przecieŜ na Ŝadnej ze znanych, dokładnie zbadanych planet, ciemność mogła kryć w sobie niebezpieczeństwa, przed którymi nie zdołałby się bronić. Ale Kenna nie obchodziło to jakoś. Wymijając wiszące rzędem skafandry ochronne wszedł do niewielkiej komory i kiedy drzwi wewnętrzne zatrzasnęły się za nim, uruchomił automat wjazdu. Okręła kłapa

wyjściowa zaczęła się otwierać, bardzo powoli i jakby z ociąganiem — a moŜe to tylko jemu się tak wydało; teraz, nareszcie, poczuł ostry niepokój, lęk przed tym, co miał zrobić; dość silny, aby zaczęły drŜeć mu ręce, choć niewystarczający, by przezwycięŜyć fatalizm jego uporu. Przez powiększającą się szparę buchnęło w twarz gorącym. Pancierz wdąŜ jeszcze był nadmiernie rozgrzany — powietrze wokół wjazdu drgało wyraźnie. Kenn czuł nierówne i przygłuszone uderzenia własnego serca i jakiś ucisk pod mostkiem. Odruchowo wstrzymywał oddech. Ale nic się nie stało. Analizatory — nie jego własne, z „Aresa”, których nie zdąŜył juŜ uruchomić, tylko te, które dziesięć lat temu mieli z Aastiiem na statku „Alpha-Rheo” — nie pomyliły się jednak: powietrzem tej planety moŜna było oddychać. Z

ciemności nadleciała zewnętrzna winda i Kenn zrobił ten jeden niewielki krok przekraczając granicę — najzupełniej realną, a jednocześnie w jakiś sposób symboliczną — pomiędzy bezpiecznym, ziemskim światem, którego częstką było wewnątrz „Aresa”, a tym nieznanym światem obcej planety.

Winda pomknęła w dół, wzdłuŜ rozgrzanego pancerza, i w chwilę później poczuł pod stopami nową ziemię, mającą stać się dla niego tym, czym zawładnięte

kraje stawały się od wieków dla **ziemskich konkwistadorów:**

zwycięstwem i nadzieją albo na **odwrót** — **przyczyną** ostatecznej, nieodwołalnej klęski. Mógł tylko nauczyć się Śyc tutaj albo — gdyby warunki planety okazały się dla niego zabójcze — umrzeć prędzej czy później, więc owo „później” było już bez znaczenia. Ta myśl sprawiała, że stał nieruchomo w ciemności, oddychając prawie spokojnie; obce, trochę tylko rzadsze od ziemskiego, powietrze wypełniało mu płuca, stając się z wolna częścią jego samego, w miarę jak krew nasyciała się zawartym w nim tlenem. **Za** sobą czuł nieruchomy, wielki kształt stygnącego statku; w chłodnym powietrzu podzwaniał cicho pancierz. Przed sobą miał tylko czarny i zwarty mrok, w którym oczy nie rozróżniały zarysu Śadnych, znanych czy choćby kojarzących się z czymś poznanym kiedykolwiek, przedmiotów. Zdecydował się zrobić kilka kroków — prawie natychmiast poczuł się zagubiony i całkowicie bezradny.

Ale się nie wycofał. Noc zamknęła się wokół niego; był teraz tylko nieznacznym zagęszczeniem się tej ciemności, niewidoczny prawie dla samego siebie, jak gdyby jego dądo stradło w jednej chwili swą materialność. Poczł ponownie strach, tylko że teraz nie był to lęk przed czymś konkretnym — tym razem bał się po prostu Nieznanego. Pierwszy raz w Śyciu przytłoczyła go zupełna samotność. I choda sam ją wybrał, choć — decydując — wiedział, że właśnie na to skazuje samego siebie, nie przypuszczał, że może być tak trudna do zniesienia. Bardzo powoli odwrócił głowę; nad czarnym cieniem statku zobaczył gwiazdy — mniejsze, jaśniejsze, odmienne od tych, jakie oglądał z Ziemi. Stał i patrzył w południową stronę demnego nieba, tam gdzie — zniekształcony innym kątem widzenia — świecił Orion; w tę stronę Galaktyki, w której, jak wynikało z obliczeń przyrządów pokładowych, znajdowało się Słońce. Tam była Ziemia. Ziemia, której nigdy, do końca swego Śycia, nie miał zobaczyć. Gdy Kenn — od kilkunastu tygodni — stał się pariasem Ziemi, wyrzutkiem społeczeństwa. Więcej: kimś, kto w ogóle nie powinien był istnieć. Kenn był przestępcą. To, co popełnił, nazywały przestępstwem wszystkie kodeksy Nowego Ładu, obowiązujące w tym samym stopniu w każdym z krajów Unii — a to już znaczyło: na całej powierzchni globu. I było nim istotnie, jak każdy czyn wywołujący zadekłej nienawiść. nawet wtedy kiedy jest dość powodów mogących uzasadnić aż tak silną nienawiść.

Więc był przestępcą — tak że w swoim sumieniu. Ziemia **nie** mogła być dla niego schronieniem, nie znalazłby nikogo, **kto** zechciałby mu pomóc czy choćby tylko zrozumieć. Nie mógł się temu dziwić. Stanowił przecie społeczne zagrożenie w świecie, w którym popełnionego czynu nie można było

po prostu odpokutować; w systemie, który z kary, jako z czegoś bezsensownego, zrezygnował. Jeszcze niedawno rozumowałby tak samo. I dołożyłby starań, by **nad** człowiekiem naruszającym ustalone zasady społecznego współżycia dokonała się nowa, sławiona przez wszystkich

sprawiedliwość. Poczul chłód mimo swego ubioru — wdął jeszcze był

w skafandrze kompensacyjnym. Miał ochotę zawrócić do kabiny. Ak pozostał. Myśli nie można było zatrzymać; choć tak starannie unikał ich w czasie całego lotu, musiał się w końcu z nimi zmierzyć, dalsze odsuwanie ich od siebie nie

miało sensu. Wolał, by stało się to tutaj, w obcej i może nieprzyjaznej

ciemności, gdzie połyskliwe tarcze ekranów nie mogły go zaskoczyć widokiem własnej twarzy nakładającej się niewyraźnym odbiciem na lśniący w nich fosforycznie rozległy, płaski krajobraz.

Więc postanowił rozprawić się — do końca i ostatecznie — ze wszystkim. Potwierdzić własną decyzję albo mieć dość odwagi, aby stwierdzić jej

niesłuszność.

Był przestępcą. On, Alphard Torrence Kenn, jeden z osiemdziesięciu członków Kolegium

Sprawiedliwych, złamał przepisy, których był niemal częścią, pogwałcił prawa zawarte w normach, których i on był twórcą. To stanowiło dodatkowe obciążenie, nakładało większą odpowiedzialność, a także — w jego oczach — zwiększało tamtą winę. Ale nie przesądzało o jego dalszych losach, nie

mogło wyeliminować go trwale ze społeczeństwa Ziemi. Gdyby nie uciekł. Gdyby nie wymierzył

sobie sam kary odosobnienia, jakiej nie znało od wieków prawo penitencjarne układane przez takich samych jak on, uznane za najbardziej łagodne w całej historii ludzkości. Także przez niego. Bo

przecież do niedawna z największym przekonaniem uważał je za konieczne i właściwe, nigdy — a

przynajmniej tak długo, póki jego samego nie mogło w żaden sposób dotyczyć — nie próbując go

kwestionować. Może dlatego, że tak go nauczono, że tak, od dawna, myśleli wszyscy. Kara jako

narzędzie odwetu nie istniała od dawna; dawno też rozumiano, że nikt i nigdy nie ma absolutnego prawa, aby oceniać czyny drugiego człowieka,

a to, co stanowiło podstawę wymierzania kary, jest zawsze przywilejem uzurpowanym siłą, uświęconym interesem społecznym, konieczną samoobroną, bez której społeczeństwo nie mogłoby

istnieć. Bardzo odległe były również te czasy, gdy społeczeństwo pozbywało się jednostek ludzkich,

mogących stanowić dla niego zagrożenie, za pomocą więzienia, szubienicy albo elektrycznego krzesła — radykalnie, w historycznym odruchu samoobrony. Równie niemal dalekie wydawały się pierwsze próby przywracania przestępców społeczeństwu; łagodnej i długotrwałej rehabilitacji, powolnie działających metod wychowywania, nie zawsze przynoszących oczekiwany rezultat. Teraz to wszystko załatwiało się wiele pręcej, a co ważniejsze — osiągając zawsze zamierzone efekty. Ten nowy sposób resocjalizacji działał bezbłędnie, nie wymagając nie tylko współdziałania zainteresowanego, lecz nawet udziału jego świadomości. Był bardzo prosty: mocą wyroku sądowego poddawano przestępcę — nieznacznej w końcu — korekcie osobowości. Widział to kiedyś. Zielony ekran psychooperatora, pełganie krzywych linii — niepojęty zapis bodźców i wrażeń, wspomnień i pragnień będących siłą motoryczną działań człowieka, częściami składowymi jego osobowości. Mruganie kolorowych świateł. Naga, bezbronna, odkryta czaszka ludzka. Cienka, liliowa igła światła penetratora zagłębiająca się bezboleśnie w mózg uspionego człowieka. Wymazująca z niego to wszystko, co mogło stanowić potencjalne zagrożenie. Wtedy zdawało mu się to celowe i oczywiste. Przeraził się dopiero, kiedy pomyślał: „To właśnie będę ja”. Bo — gdy chodziło o niego — to rozwiązanie, które uważał, tak jak wszyscy, za najbardziej humanitarne — stawało się czymś strasznym, nie do przyjęcia. Wstrząsnął się, jakby przeszył go mroźny wiatr. „Nie — pomyślał z tym samym przerażeniem, odświeżającym na nowo, jakby to w dalszym ciągu mogło mu jeszcze grozić. — Nie. Wszystko, tylko nie to”.

Nie bał się teraz otaczającej ciemności, nie bał się już właściwie niczego, od kiedy wrócił tamten ohydny strach. Najbardziej ze wszystkiego, co mogło mu się zdarzyć, przerażała go wizja promienia odnajdującego w jego mózgu i wymazującego na zawsze to, co stało się — i w przyszłości mogło stać się ponownie — przyczyną popełnionego czynu, tak jak ze zdrowej tkanki wyłuskuje się rakowaty guz. „Tylko że to nie jest takie proste, skoro nikt, nawet nadzorujący lekarze, nie wie, co to będzie, jak nikt — poza psychooperatorem — nie jest w stanie rozpoznać, które ze wspomnień? — cech? — przeżyć? stało się bodźcem popełnionego przestępstwa. I jakie, poza tą negatywną, inne wartości człowieka mogła w nim ukształtować. Co jeszcze potrzebnego, wartościowego albo po prostu będącego

nierozzerwalną częścią mojego »ja« powstało z tego impulsu i co — razem z nim — zniknie. A ja wiem tylko tyle:

z chwilą dokonania na mnie tego zabiegu przestałbym zagraŝać społeczeństwu, tylko, być może, to już nie byłbym ja..."

Kiedy to tak właśnie zobaczył, w pierwszym odruchu chciał biec i przekonywać, zaprotestować przeciw tej straszliwości dziejącej się od wieków w imię interesów społecznych, człowieczeństwa, sprawiedliwości i prawa. Potem pomyślał, że takich jak on było wielu i że nikt nigdy nie został wysłuchany. że nie ma o co walczyć, bo jego prawda będzie potraktowana jak nieudolny wykręt człowieka, który stara się ominąć prawo. Prawo wygodne dla tych wszystkich, których nie dotyczyło bezpośrednio, bo ułatwiało od razu aŝ dwie sprawy: usuwając społeczne zagrożenia pozwalało zachować przekonanie, że to, co się robi, jest jednocześnie godne najwyższych pochwał. Nazbyt długo studiował kodeksy zamierzchłych epok, aby nie uznać prawa kaŝdej zbiorowości ludzkiej do obrony przed takimi jak on. W tym świecie, w którym urodził się i wychował i w którym spędził swoje dojrzałe lata, uznany i obdarzony szacunkiem, nie chciał stanowić zagrożenia dla innych. Ale to wcale nie było równoznaczne z poddaniem się korekcje. To samo mógł osiągnąć usuwając siebie z ziemskiego społeczeństwa, odchodząc tak daleko, by nikt i nigdy nie został przez zetknięcie się z nim naraŝony na niebezpieczeństwo. To jednocześnie miała być jego kara, bo nie potrafił odrzucić swoich przekonań, ukształtowanych przez zawód wykonywany tak długo — że kaŝda wina musi pociągać za sobą odpowiedzialność. Co nie oznacza, że tam na Ziemi, zaraz po dokonaniu przestępstwa, rozumował tak właśnie. Wtedy, w pierwszym momencie, działał jakby na oślep — kierował nim tylko strach. Uciekł. Po prostu uciekł. Refleksja przyszła później, już w czasie lotu, i razem z nią wypłynęło wspomnienie tej planety otoczonej atmosferą składającą się z mieszaniny gazów na tyle przypominającej ziemskie powietrze, że można nią było oddychać; zielonej kropli światła, którą widział był kiedyś z pokładu „Alpha-Rheo”, pozornie nie zapamiętanej, a przecież przechowywanej w podświadomości przez minione lata, aŝ do chwili kiedy ta informacja stała się potrzebna.

Był prawie pewien, że nikt poza nim (Aastii zginął rok temu, na jednej z małych, straszliwie zimnych planet układu Gwiazdy Barnarda) nie pamięta o jej istnieniu. Była nieznaną, nie odkrytą tak samo, jak w dawnych czasach bywały nie odkryte niektóre lądy Ziemi: wyspa bezludna i nikomu w tym ziemskim świecie na nic nieprzydatna — przynajmniej aŝ do tej chwili. Nie dlatego, że to on i

Aastii przemilczeli wtedy swoje odkrycie. Planetę, oczywiście, zgłosili po powrocie; została prawdopodobnie zarejestrowana w jakimś katalogu pod nic nikomu nie mówiącą kombinacją liter i cyfr; pewnie nikt nie pamiętał, że zgłosili ją właśnie oni. A w każdym razie Kenn wołał wierzyć, że tego nikt nie pamięta, nikt nie powie o jego ucieczki z tą niewielką i odległą planetą. Chciał wierzyć, że nikt na to nie wpadnie. Nie miał innego wyjścia. Zaryzykował.

Odwrócił się powoli, tracąc z pola widzenia zarys swojego statku — tego jednego, co jeszcze w jakiś sposób łączyło go z przeszłością — i znów wpatrzył się w nieprzeniknioną, obcą, milczącą ciemność. Tak, bał się teraz, ale to tak że miało stać się częścią wybranej przez niego kary.

Odosobnienie i strach. To właśnie będzie musiał tu znosić, każdego dnia. I rozumiejąc to wiedział, że nie cofnąłby swojej decyzji, nie odwołał wyboru — nawet gdyby istotnie dano mu tę możliwość.

Poczuł się bardzo znudzony; ostatnie kilka godzin zrobiło jednak swoje. Chciał znaleźć się jak najprędzej w kabinie, w której wszystkie przedmioty zdawały się przyjazne; znane na pamięć i właśnie poprzez to chroniące go przed lękiem. Zaczął iść w stronę statku i gdy tak szedł, przyszła mu na myśl bardzo stara opowieść, nie zapamiętana dokładnie, którą gdzieś czytał lub ktoś mu opowiadał. Było tam coś o samotnym rozbitku zagubionym w zupełnie obcym miejscu, zdany tylko na własne siły i całkiem dziką przyrodę, wśród której starał się przetrwać, próbując to obce i może nawet wrogie otoczenie obłaskawić, wyciskając na nim piętno swoich poczynań. Pomyślał, że jest jak tamten, tyle że tamten był jednak mniej niepewny i nie tak zagubiony; miejsce, w którym się znalazł, było po prostu wyspą, zwyczajną ziemską wyspą. Ale to, co potrafił ten prymitywny człowiek sprzed kilku wieków, potrafi także on. Wspomnienie wypłynęło i zaraz zgasło, ale pozostawiło po sobie jakąś nową otuchę. **Od** jutra zacznie nowe życie,

dołoży wszelkich starań, aby przystosować się do nieznanego środowiska, zwalczając to, co mogłoby mu zagrozić. I wtedy przetrwa albo po prostu zginie — trzeciego wyjścia nie ma. Jeszcze nie wiedząc, z czym będzie musiał się zmierzyć, uwierzył nagle, że jednak przetrwa. Ufał w tej chwili sobie, swojej ludzkiej mądrości wspomaganą przez twory ludzkiej techniki — automaty i urządzenia, które tu przywiózł;

rozumnemu działaniu gatunku, do którego należał, umiającego podporządkowywać sobie całe układy planet.

Obudził się gwałtownie, a raczej obudziło go niespokojne, dławiące łomotanie własnego serca. I

strach. Wpółseny, podświadomy.

Usiadł, czując, jak chłodne i lepkie struśki potu spływają mu po skórze; coś przedziwnego działo się dookoła, było tuś obok, za cienką ścianą namiotu z aluminizowanego myłam, która nie mogła uchronić go przed niczym, nie stanowiąc nic więcej poza złudzeniem osłony. W następnej chwili ułowił to, co przeraziło go we śnie tak bardzo. To był dźwięk. Właściwie — cała gama dźwięków, niezrozumiałych, a więc przeraśających jak wszystko, co jest człowiekowi nieznane. Za denka ścianką rozlegały się suche i przenikliwe trzaski, podobne do nie milnących wyładowań elektrycznych; ten głos narastał, zlewał się w jeden poszum przypominający odgłosy nadchodzącej pośogi — razem z tym szumem Kenn dostrzegł złote i purpurowe światło, drgające tak właśnie jak luna ogromnego pośaru na wółprzejrzystym od tego blasku mylarze. Pomyślał, że chyba wszystko wokół namiotu stoi w tej chwili w ogniu — i że jeśli tak jest w istocie, to nie ma już dla niego ratunku. I wtedy ponad ten trzask pędzącego pośaru wybił się jasny i czysty, ostry dźwięk; cztery wysokie nuty powtarzające się w niezmiennym kolejności, coraz to szybciej, póki ich brzmienie nie zaczęło się zlewać przechodząc w jakiś aenki, jękliwy zaśpiew — już na granicy słyszalności. Zerwał się

zapominając zupełnie o śpiworze i — zaplątany weń dasno — rąbnął w tej samej chwili na miękką, wyśdeloną pianolitem podłogę. Trwało chwilę, zanim się wyswobodził i trzęsącymi rękami odrzucił płachtę zasłaniającą wejście.

Nic się nie działo — tylko nad horyzontem niebo płonęło krwawym przepychem luno; świt tu, na tej planecie, wyglądał tak jak pośar, rodząc się w tym oślepiającym blasku i trzaskach, które teraz, kiedy już dchły nieco, przypominały

suchy syk ziemskiej zorzy polarnej. Kenn rozglądał się ze zdumieniem, aś po horyzont nie widać

było niczego, co mogłoby wydawać z siebie ten drugi, bliśszy, wysoki dźwięk. Kiedy tak stał, wydało mu się, że ów wibrujący zaśpiew płynie spod jego stóp, podnosząc się z rozległej i pustej gładzi jasnego piasku, a raczej tego, co pokrywało tutejszy grunt i czemu on nadał zrozumiałą dla siebie nazwę, choć w niczym nie przypominało ziemskiego piasku, składając się z przedziwnych,

połyskliwych i twardych tak jak diament kryształków, przypominających swą fantastyczną budową

jakieś kryształy szczawianów. Przykucnął z rękami opartymi na rozstawionych kolanach. Dźwięk stał

się bliśszy i wyraźniejszy; naprawdę było tak, jak gdyby wydawał go piasek pokrywający grunt.

Wydął rękę, zebrał garść lśniących kryształków: we wnętrzu dłoni obdgniętej czarną, matową rękawicą małe drobiny drgały nieznacznie, a przede wszystkim dostrzegalnie i kiedy podniósł rękę do wysokości piersi, nie miał już wątpliwości. Garść lśniących, ostrych okruchów wydawała ten sam dźwięk, srebrzysty głos, tyle że dźwięczniejszy — było ich mniej, a więc rezonans pomiędzy poszczególnymi ziarnami musiał być tak samo mniejszy. Ale to właśnie było przyczyną owych dźwięków. Piasek „śpiewał”. Kenn patrzył na to przez chwilę osłupiały, a potem strząsnął rozedrgane kryształki, otrzepał rękawicę i wstał — dągle rozdygotany niedawnym przestraszeniem. Zbyt wielu rzeczy nie rozumiał i to właśnie wyzwalalo lęk: bał się jak nic nie rozumiejące i zagubione zwierzę.

Przypomniał sobie postanowienia sprzed trzech dni — i drwiący śmiech z samego siebie, z własnej, bezbrzeżnej i tak typowo ludzkiej megalomanii, pewność siebie czy po prostu głupoty, trząsł nim przez chwilę. Bo trzeba było być istotnie zarozumiałym głupcem, żeby zakładać, że zdoła temu światu cokolwiek narzucić, że może i potrafi podporządkować go sobie. Minione dni upewniły go tylko w jednym: że może być tu jedynie intruzem, a osiągnięciem jest każdy dzień, jaki zdoła przeżyć. Popatrzył znowu w niebo; czerwonożłote barwy już gasły, przechodząc w opalizujący, przydymiony blask dnia, trzaski były o wiele słabsze, śpiewające piaski też zaczynały dźwięczeć.

Nie mógł się uspokoić; był teraz dągle i nadmiernie napięty, nie wiedząc czym, w jakiej chwili, ta planeta może go i zaskoczyć. Wszystko tu było inne, niż sobie wyobrażał: rozległy, pusty krajobraz poprzerzynany błękitnymi skałkami, osypującymi się niespodziewanie na przechodzącego lawiną drobnych, piekielnie ostrych głazów, których krawędzie rozcinały nawet specjalne podeszwy planetarnych butów; lachy rozprószonego piasku świecącego okrutnym blaskiem, od którego oczy ropyły i łzawiły, a ból podrażnionych spojówek wdercał się pod czaszkę; osypiska czarnych kamieni rozstępujące się pod dotknięciem stopy i wciągające człowieka jak bagno albo ruchome piaski — pierwszego dnia, zanim poznał tę ich właściwość, omalże nie przyplacił własnej nieprzezorności. To i jeszcze nie wiedzieć ile podobnych pułapek, przed którymi — nie znając ich — nie potrafił się bronić. Minione noce spędzał był w kosmolocie, bo potrzebował trzech dni na przeniesienie wszystkiego, co mogło mu być potrzebne do założenia względnie bezpiecznego obozu; ten pierwszy świt oglądany na powierzchni planety, rodzący się w tak niesamowitej scenerii, był nowym zaskoczeniem. Dlatego właśnie przeraził go aż tak bardzo;

trudniej niż kiedykolwiek było mu teraz uspokajać rozdygotane nerwy. żeby się opanować, cofnął się do namiotu i zajął przygotowywaniem śniadania; prozaiczność tej codziennej funkcji na krótko pozwoliła mu zapomnieć o wszystkim. Zaniepokoił się znowu, gdy otwierając konserwę zaciął się w palec — jedzenie było jedną z niewielu czynności, dla których wykonania odważył się zdejmować ochronne rękawice. Dezynfekując ranę pomyślał, jak bezsensowne są te próby bronięcia się znanymi mu, ziemskimi środkami przed zagrożeniem, którego nie znał; nie wiedział przecie, czy są tu jakieś bakterie i czy posługiwanie się ziemskimi środkami bakteriobójczymi ma jakkolwiek sens. Ale o tym nie wolno mu było myśleć, jeżeli nie chciał stracić reszty odwagi i reszty wiary w siebie. Jedynym wyjściem było wykonywanie tego, co w jakimś stopniu mogło go chronić czy zabezpieczać; zupełna rezygnacja ze środków zaradczych równała się samobójstwu. Więc też zakazał sobie stanowczo myślenia na ten temat i wstał: musiał wykonać jeszcze wiele rzeczy, które umożliwiłyby mu przetrwanie. Białe, spłaszczone, ogromne słońce 'planety stało niemal w zenicie; piasek znowu kłuł w oczy odbiciem oślepiającego światła; był tak gorący, że Kenn nie ośmieliłby się o tej godzinie dnia dotknąć go ręką pomimo swoich rękawic. Powietrze drgało od żaru; nawet wtedy kiedy się nie poruszał, był zlany potem, a płuca z trudem łowiły każdy oddech. Suchy, upalny klimat był tak przeciw niemu; morderczych temperatur dochodzących w południe do sześćdziesięciu stopni nie można było długo znosić bezkarnie, a każda praca wykonywana w takich warunkach stawała się torturą. Na szczęście część zadań, tych najcięższych, mógł zdać na automaty — najgorsze, południowe godziny spędzał więc w klimatyzowanej kabine „Aresa”, kierując pracami za pomocą urządzeń zdalnego sterowania i pocieszając się, że gdyby trafił w strefę równikową, byłoby jeszcze gorzej. Z zawziętą, ponurą furią wziął się do wysadzania zwietrzałych nawisów błękitnej, zielono szklanej skały — do jej podnóża chciał przenieść jutro swoje obozowisko. Nieomal z nienawiścią patrzył w ekran kontrolny, gdy sterowany przez niego półautomat taranował seledynowe usypisko polśniewając jak kropla rtęci polerowanym kadłubem; z mściwą radością obserwował wykwitanie krzaczastych, brudnorudych rozbłysków z każdym kolejnym wybuchem; rozrzucone nim głazy padały ciężko w czerwonawe zasieki kolczastych tworów, które z początku przypominały mu swoim kształtem jakieś ziemskie zarośla. Z początku, bo z wolna nabierał przekonania, że jest jedyną żywą istotą na całej powierzchni globu. Ta myśl budziła niesamowite uczucie, z ulgą przyjąłby każde jej zaprzeczenie; przytłaczała go myśl o tym, że nigdzie, na całym tym obszarze nagich skał przerywanych łachami diamentowego piasku, pod

rozpalonym, obcym niebem moŜe nie znaleźć najmniejszego objawu Śycia. A tak to wyglądało. W

dągu minionych trzech dni zbadał dokładnie okolice wokół lądowiska „Aresa”, przemierzając przestrzeń o powierzchni kilkuset kilometrów kwadratowych, najpierw pancernym pojazdem

planetarnym, a potem lekkim łazikiem — nigdzie nie spostrzegł najmniejszych śladów Śyda. Z

początku myślał, Œe wylądował na jakiejś wielkiej pustyni, ale w miarę jak zapuszczał się w coraz to dalsze okolice, przestawał i w to wierzyć. Na zachód od jego obozowiska znajdowało się morze, czy teŜ tutejszy ocean, o dziwnie gęstej, smoliŒcie czarnej i lŒniącej teŜ jak smoła, nieruchomej wodzie.

Wzrok napotykał wprawdzie czasem nieznanne kształty, zdradzające odległe podobieństwo do

jakichś znanych roślin. Tak było wlaŒnie z czerwonawą, najeŒoną dermami płataniną, która z daleka przypominała zaroŒla kolczastych łodyg, posplatanych ze sobą długimi na dziesięć cali i

przypominającymi swojå twardoŒdå stalowe pręty kolcami. Spotykał takŜe jakieś niby-kaktusy

łączące się ze sobå sztywnymi wypustkami o sercowatym kształde

i nakrapiane złocistymi cętkami „konary” podobne do kłębu nieruchomych, spleatanych z sobå węŜy.

Ale miaŒdŒone pancernymi gaŒienicami pojazdu czerwonawe „zaroŒla” okazywały się martwe — ich twarde kolce pękały z suchym trzaskiem, nie zawierały soków ani teŜ Œywych tkanek, a nieruchome węŜe były po prostu Œylami wystygłej lawy. „Kaktusy” przez pewien czas łudziły go jeszcze swojå zdumiewającå jak na wytwory materii nieoŒywionej wlaŒciwoŒciå: ich sercowate człony paliły się

doŒć łatwo, wydzielając gorzkawy, przyjemny zapach. Okazały się jednak tworami geologicznymi,

tak odmiennymi od wszystkiego, co widział kiedykolwiek, Œe w pierwszej chwili wziåł je za rośliny.

DoŒć szybko jednak sprostował tę pomyłkę.

Musiał się skupić, bo sterowany przez niego pólautomat utknåł beznadziejnie pod niespodziewanym obrywem. Przez chwilę bez więŒszego powodzenia starał się go wycofać. JuŜ myŒlał, Œe będzie

musiał wyleźć z chłodnej kabiny i zbadać sprawę na miejscu, kiedy automat poruszył się nareszcie i zaczął wycofywać z gruzowiska tyłem, jak rak. Prowadząc go oczami, Kenn rozejrzył się po terenie swoich trzydniowych dziełań: zrobił naprawdę duŜo; mógłby być z siebie dumny, gdyby w tej sytuacji tego rodzaju duma nie była zupełnie Œmieszna.

Poczuł się nagle znuŒony, praca wykonywana przez prawie cały dzień przestała go obchodzić, nie

chciało mu się zaczynać jej od nowa. Upał zmniejszył się trochę, więc mógł wyruszyć na kolejnå

wyprawę; z punktu widzenia załoŒonego programu robót była to strata czasu, ale pomyŒlał, Œe ma

przed sobą jeszcze dość lat na tej planecie, by zdążyć zrobić wszystko, co do zrobienia możliwe.

Postanowił skierować tym razem łazik na zachód, w stronę wybrzeża — czarne morze fascynowało go jakoś, jak kiedyś, przed wiekami urzekały jego odległych przodków nieznanne oceany Ziemi. Łazik jechał dość szybko, wymijając nieliczne szarobłękitne skałki, których ilość zmniejszała się wyraźnie, w miarę jak Kenn pokonywał tę niewielką odległość, dzielącą jego obóz od srebrnej plaży,

połyskliwym zakolem wrzynającej się w ciemną i oleistą wodę. Po upływie godziny koła pojazdu wpełzły na wąski pas sypkiego, drobniejszego niż w jakimkolwiek innym miejscu, przybrzeżnego piasku. Kenn nacisnął hamulec i chwilę patrzył przez szybę stojącego pojazdu na czarną przestrzeń stykającą się na linii horyzontu z perłowoszarym niebem. Po raz pierwszy

zobaczył, że morze się porusza. Nie tak jak ziemskie, którego falowanie można porównać do nie kończącego się, upartego pochodu; nieprzejrzysta, gęsta, leniwa woda nie biegła ku wybrzeżu, lecz stojąc w miejscu wzdymała się w rosnące w oczach, szerokie na jakieś kilkanaście metrów i płaskie bąble, które po chwili zapadały się znowu, ustępując miejsca równie rozległym wgłębieniom. To niepojęte pionowe falowanie zdumiało go i zaintrygowało;

odrzucił grubą, półokrągłą owiewkę i wyskoczył na piasek. Po raz pierwszy ciągnęło go, by dotknąć powierzchni tej planety, stać się czymś więcej niż widzem — do tej pory do takich bliskich kontaktów zmuszała go jedynie nieodparta konieczność.

Wiatr nadleciał znad wody, przeszył go chłodnym powietrzem, targnął włosami i szczelnie zapiętą kurtką. Kenn poczuł, jak jego mięśnie odprężają się z wolna, ten podmuch wiatru uspokajał go, przyciszał nieufność, która od lądowania nie opuszczała go ani na chwilę. Stał, oddychając

czystym, jak gdyby musującym powietrzem, po raz pierwszy od dawna czując, że jest czymś więcej niż miotającym się niespokojnie, śmiertelnie przerażonym zwierzęciem. Po raz pierwszy nie myślał o tym, by wracać, chronić się tak jak ślimak w swej skorupie pomiędzy pancerne ściany łazika,

pojazdu czy wreszcie swego statku, jakby jedynie po to przebył czarną pustkę kosmosu, by tu, na tej planecie, zamknąć się w sztucznym światku skłamanego bezpieczeństwa, wśród ziemskich

automatów, urządzeń i przyrządów. Zdecydował się, zrobił krok, potem drugi — żaden ruch nie zakłócił powierzchni jasnego piasku, nic nie zmąciło leniwego rozchybotania wody, spokojnej,

czarnej i cichej aż po srebrzysty horyzont. Wtedy — uspokojony — zaczął iść, z początku jeszcze wolno, a potem, z każdym krokiem nabierając pewności siebie, coraz szybciej i pewniej.

Szedł pustą, rozległą plażą, kryształki piasku twarde i połyskliwe jak diament przesypywały się sucho pod podeszwami butów, nowy podmuch wiatru doganiał go wciskając się znów pod kurtkę; był prawie taki jak ziemski — omywający ciało chłodną i szybką strugą. Przejście zagroził mu szeroki, płytko rozlany strumień. Zawahał się na chwilę; nie musiał się wcale spieszyć, nie zmierzał przeciw w jakimś określonym celu; szedł dlatego, że prowadził go wiatr, a teraz, tak samo dobrze, mógł się zatrzymać, skoro zatrzymał go w wędrówce ten strumień. Zdumiony własną reakcją podporządkował się jednak podświadomej sile działającej w nim teraz, prymitywnej, a jednocześnie przemożnej, która skłaniała go, by choć przez chwilę zaprzestał rozsądnej i celowej krzątaniny, z jakiej składa się życie cywilizowanego człowieka; żeby po prostu był, patrzył, oddychał.

Przykląkł i nachylony przyjrzał się z bliska wodzie; wyglądała inaczej niż woda czarnego morza; przejrzyste zielonkawa, szybkim i wartkim prądem toczyła się po płaskich, wygładzonych tym nurtem kamykach, połyskując odbiciem rozszczerzonego światła. Kiedy tak patrzył, poczuł się znowu chłopcem; tym samym umorusanym kilkuletnim dzieciakiem, który w bardzo odległym i w pewien sposób nierealnym (bardziej przez upływ czasu niż to ogromne oddalenie w przestrzeni), niemal zupełnie zapomnianym już świecie brodził po mokrych łąkach, tropiąc ruchliwe nartniki w gładkich prześwitach wody między rozłożystymi liśćmi kaczęńców i łodygami zielonych tataraków. Pomyślał ze zdziwieniem, że trzeba było aż tyle:

owego czynu potępianego przez ziemskie społeczeństwo, zagrożenia i strachu, ucieczki i tej planety: martwej i obojętnej, rozprószonej promieniami białego słońca — i jego samotności — żeby na chwilę mógł stać się znowu tamtym, zapomnianym już chłopcem. A potem wyciągnął rękę i zaskoczony obcością własnej dłoni w czarnej, obciskającej ją ciasno rękawicy, zatrzymał się w pół ruchu. 'nim wyprężone palce mogły dotknąć ruchliwej i przejrzystej powierzchni.

Prawie w tej samej chwili stało się coś, co zdumiało go bardziej niż obcość własnej dłoni: w

rozcapierzonym cieniu, jaki rzuciła na wodę, zalśniły drobne, tęczujące odpryski. Skupiały się i rozdzielały znowu, ich ruchliwość wydawała się celowa. I kiedy Kenn — wstrzymując oddech, jakby to równomierne wydychanie powietrza mogło je spłoszyć — pochylił się jeszcze niżej, zobaczył w plamie zwielokrotnionego cienia, na czym ich działanie polegało: wlokąc grupkami Świr i drobniejsze kamyki tęczujące Świątka wznosiły jakby tamę, odgradzącą zakole strumienia od toczącego się

obok, głównego nurtu.

Uśmiechnął się patrząc na to, chociaż wcale nie wiedział, że właśnie się uśmiecha: tęczowa krzątanina była tym, czego przestał się już zupełnie spodziewać: objawem Śycia na tej pustynnej planecie. I choć te odrobiny budujące swą tamę nie mogły w niczym mu pomóc i na nic mu się

przydać, niespodziane odkrycie odebrał jak nagłą, zaskakującą radość. Kiedy tak patrzył, ciesząc się, jakby była w tym

wszystkim jakaś jego zasługa, zobaczył, że stworzonka (w myślach zaczynał je już nazywać

„tęczopławy”) przyspieszyły poruszenia; wyglądało to trochę na nerwowy niepokój płynący ze świadomości zagrożenia. Rozejrzał się, by zobaczyć, co mogło je tak spłoszyć — nie dostrzegł nic ponad to, że falowanie czarnego morza zmieniło jakby swój rytm; woda nie drgała w miejscu jak

przedtem, lecz coraz to dłuższymi jęzorami zaczęła wpełzać na piasek. Większa od innych fala

wdarła się nagle w płytkie ujście strumienia, budząc paniczny przestrah wśród tęczowych Świątek, i Kenn zobaczył zaraz przyczynę tego popłochu:

dosięgnięte nią tęczopławy traciły swą ruchliwość, a potem gasły — w jednej chwili pociemniałe i martwe. Nie myślał. Odruchowo zaczął wygrzebywać z twardego dna strumienia co większe

otoczaki, dokładając je do nie ukończonej tamy tęczopławów. Pracował tak przez chwilę, w jakimś zacierzeniu. Gdy wreszcie skończył, zatoczkę odgradzał wcale solidny mur; przeszkoda, od

której ciemne, kleiste języki morskiej wody odbijały się leniwie i jakby ze zdziwieniem.

Przysiadł na piętach i przyjrzał się ponownie zielonkawej powierzchni: ocalałe Świątka zaczynały znów świecić wszystkimi barwami tęczy, z wolna powracała ich poprzednia ruchliwość. I to go ucieszyło — tak właśnie, jakby odnalazł coś niezmiernie cennego.

Rozejrzał się dokoła; niebo nad czarnym morzem mroczyło z wolna, nasiąkając stalową barwą

zmierzchu, kryształki piasku gasły, jakby ktoś nagle przysypał je popiołem. Na twarzy poczuł znowu muśnięcie wiatru, prawie niewyczuwalne, które rozpoznał po szybszym niż przed chwilą schnięciu

własnego potu. Kiedy tak siedział, po raz pierwszy przestał się czuć intruzem — z nagłą, niczym nie

uzasadnioną nadzieją pomyślał, że on też, z czasem, może po wielu latach (gotów był poczekać na to nawet tak długo) stanie się częścią tej planety, związaną z nią przez sam fakt swego istnienia tak samo mocno, jak śpiewający piasek i grająca barwami ruchliwość tęczopławów. Spojrzał na swoje ręce; zniszczył rękawice, ale to przecież musiało się zdarzyć prędzej czy później; skoro miał zostać tu na resztę swego Syda, musiał przygotować się na to, że skończą się przywiezione z Ziemi przyrządy, że kiedyś wreszcie zużyje te trochę ziemskich przedmiotów, zapewniających mu jaką taką ochronę, stwarzających złudzenie bezpieczeństwa. że prędzej czy później będzie musiał poprzestawać na tym, co może otrzymać tutaj, na tej planecie, zdając się na nią i na własną zaradność, a wtedy ona przyjmie go albo zniszczy. Więc bez znaczenia było, kiedy to przyjdzie, w jakim momencie będzie musiał się z tym zmierzyć. Ściągnął resztki rękawic, po raz pierwszy nie odczuwając lęku na myśl o tym, że niczym nie osłoniętą ręką ma dotknąć czegoś, co należało do tego obcego świata. Może dlatego, że — tak że po raz pierwszy — chciał go uczynić naprawdę swoim światem, przyjmując go i sprawiając, by przez ten świat został tak że przyjęty. Ten dzień, który w swoim dzienniku — gdyby go był prowadził — mógłby oznaczyć jako „dzień tęczopławów”, pamiętał potem długo; stał się on jakby jakąś granicą dzielącą niewidocznie, a przecież zdecydowanie ten pierwszy okres, kiedy to bezskutecznie starał się otoczenie podporządkować sobie, nienawidząc prawie wszystkiego, na co patrzył, za niepokorność i nieposłuszeństwo wobec jego — ludzkiej, a więc, jak mniemał, nadrzędnej — woli, od dni następujących po nim, gdy nie próbował już niczego narzucać ani modyfikować, starając się jedynie znaleźć dla siebie miejsce wśród innych Sywych istot, całym swym bytowaniem związanych z tą planetą. Bo po tamtym pierwszym odkryciu zaczęły się następne: czerwone zarośla okazały się rzeczywiście rośliną; wystarczyło nie niszczyć ich i nie łamać bezmyślnie, aby ich twarde i długie kolce odzyskiwały roślinną elastyczność. Żółte nakrapiane „węże” zaczynały poruszać się powoli, jeśli nie czuły się w jakiś sposób zagrożone. Sercowate, dziwacznie połączone ze sobą konary też były przedstawicielami tutejszej flory, choć z powodzeniem potrafiły udawać odpryski szarej skały. Jeśli tamte, czerwone zarośla, które Kenn nazwał „kolcokrzewami”, można by uznać za jakieś tutejsze ciemię, te drugie przypominały drzewa, wyposażone w nie znaną ziemskim drzewom właściwość odtwarzania pulsowaniem krążących w nich soków każdego rytmu, jaki dawał się słyszeć w ich pobliżu. Kenn odkrył to przypadkiem, opierając rękę o chropowatą powierzchnię

„sercodrzewa”, które natychmiast zaczęło pulsować odbiciem jego tętna. Takie odkrycia zdarzały mu się teraz prawie każdego dnia i z każdym dniem zdumiewało bogactwo nowo odkrytych form, a takŜe — Ŝe kiedykolwiek mógł tego nie dostrzegać. Odkąd wyzbył się swojej ziemskiej pychy płynącej z przekonania, Ŝe cały świat powinien być podporządkowany istocie ludzkiej, odkąd przestał ten świat — znajdujący się na planecie, przeraŜać i niszczyć w ślepej Ŝądzy uczynienia go sobie posłusznym i zaczął patrzeć uważniej, zdobywając się

na długie chwile ostroŜnego oczekiwania, nie tak wyłącznie zajęty swymi sprawami, Ŝycie planety odsłaniało się jego zdumionym oczom coraz skwapliwiej — jakby te wszystkie rośliny i stworzenia, czy: roślinostworzenia (nie dysponował Ŝadnymi kryteriami, które mogłyby pozwolić mu je

sklasyfikować) przyjęły go za swego, za jakąś część tej planety, związaną z nią tak samo silnie jak one, rezygnując ze swojej, posuniętej aŜ do stanu anabiozy, mimikry.

To takŜe było odkrycie, nieznanne, nowe — bo uczyło pokory, do której w swoim dawnym świecie spiętrzonych, ludzkich spraw (uwagaŜanych przez niego, jak i przez wszystkich, za jedynie istotne) nie przywykł: chwila, kiedy zrozumiał, Ŝe to bujnie pienie się wokół niego Ŝycie udawało martwość tak długo, dopóki stanowił dla niego zagroŜenie, Ŝe broniło się nie tylko przed Nieznany, lecz takŜe przed tym, co to Nieznane — a więc on, człowiek — przyniosło tutaj z sobą: brutalnością i bezmyślnym egoizmem. I zdumiewało takŜe, Ŝe musiał przebyć aŜ tak daleką drogę (określał tym pojęciem nie tyle przestrzeń, dzielącą go od Ziemi, co dystans, jaki oddzielał go od dawnego Kenna), tak wiele przemyśleć i przeŜyc, by wreszcie to zrozumieć.

Z chwilą, w której to pojął, zaczął rozumieć takŜe, **Ŝe jeśli** chce stać się częścią tego dziwnego świata, musi się **go** nauczyć, a nie podbijać siłą. **Ŝe** wszelkie zmiany powinien zacząć od siebie.

Ale to wcale nie było takie łatwe. Bo mimo wszystkich zmian zachodzących w nim samym i wokół niego nowe otoczenie stawiało przed nim każdego dnia ten sam, nie zmieniony problem: przeŜyc.

Uchronić się przed niebezpieczeństwami, które wcale nie przestały mu grozić;

poznać je — juŜ nie po to, by z nimi walczyć, lecz aby je omijać, nie naraŜając się na coraz to nowe zasadzki, w jakie obfitowało to obce środowisko.

A to się nie zmieniło: lawiny niebieskawych, ostrych głazów zagraŜały mu dalej i nadal nieostroŜny krok na kamiennych osypiskach mógł zakończyć się śmiercią, tak samo jak zbyt długie przebywanie na słońcu w dągu straszliwych, południowych godzin. Ŝyde, które odkrywał, oprócz swojej urody

niosło teŜ zaskoczenia: Ŝyjące wśród korzeni ruchliwych, złoto nakrapianych węŜowców

przerasające swoim wyglądem pomarańczowo-płowe jaszczurki okazały się całkowicie niegroźne, za to węśowiec, czarujący grą swoich świetlistych cętek — rośliną nie tylko drapieśną, lecz także piekielnie jadowitą. To wszystko były pułapki, których on, będący nowicjuszem, nie potrafił uniknąć. Pewnego dnia twardy jak stalowy pręt derń kolcokrzewu utkwiał mu w nodze unieruchamiając w obozie na cały tydzień — po tej nauczce Kenn omijał z daleka koralową płataninę zarośli. Innym razem, złudzony nieszkodliwym wyglądem zielonkawej meduzy (była taka jak ziemskie:

trzykrotnie większa, ale o identycznej budowie — przejrzystego, pręśnego dzwonu, a przez jej galaretowate dało prześwitywały półkoliste, demniejsze prąski), dotknął jej ręką chcąc poczuć pod palcami ten kształt śliski i zwarty, tak bardzo znajomy. I ręka zwiśla, zdrętwiała aż do barku; na kilka godzin stradł władzę w porażonym ramieniu.

Tak więc bytowanie tu nie było wcale bezpieczne ani łatwe. -Mimo to zmienił się bardzo — i owe zmiany dotyczyły nie tylko tego, że zaprzestał prac, których celem było zrobienie sobie siłą miejsca na tej planecie, i że poruszał się teraz po jej powierzchni nie tak jak zagrożony bezustannie zdobywca:

w opancerzonym łaziku, uzbrojony w swoje środki niszczenia i swoje automaty. Ta zmiana przede wszystkim dotyczyła sposobu myślenia. Czuł się nie tym dawnym Kennem, który potrafił nienawidzić tak bardzo, że nienawiść popchnęła go do czynu wykluczającego go ze społeczeństwa ludzi, tak samo zresztą, jak nie miał nic wspólnego z człowiekiem, który — wyniesiony przez owo społeczeństwo dosyć wysoko, aby mógł sobie na to pozwolić — swoje poglądy, uznane za jedynie właściwe, narzucał innym, używając tej siły, w jaką został wyposażony, by przestrzeganie uznanych prawd egzekwować z całą bezwzględnością. Tamto życie było już czymś zamkniętym i zapomnianym tak dalece, że nie próbował go nawet osądzać czy oceniać. Czymś aż tak nieistotnym, że mogło tylko zdumiewać umowność rządzących nim norm.

Ale na chwilę, w której miał ostatecznie zrozumieć, czym stała się dla niego ta planeta, musiał jeszcze zaczekać.

Ten dzień był taki jak inne, nie różniący się niczym od poprzednich dni?, tygodni?, jakie Kenn już tu

przeŝył. Tak jak codziennie, gdy południowy upał nareszde osłabł, Kenn wyruszył z obozu; szedł początkowo na zachód, a potem brzegiem morza skierował się ku północy. Nadkładał w ten sposób drogi, ale wolał iść plaŝą; nawilgły nieco piasek stanowił znacznie lepszą do marszu powierzchnię niż syplkie diuny dążące się w głębi lądu.

Szedł prawie przy samej wodzie, kiedy leniwa i nieprzejrzysta, tak niezmiernie rzadko pojawiająca się fala podpłynęła czarnym jęzorem do jego butów i znów cofnęła się powoli i sennie, pozostawiając na podemniiałym, nasiąkniętym piasku coś przypominającego dojrzałą, bardzo duŝą kiść jarzębiny.

Czegoś takiego Kenn jeszcze tutaj nie widział. Zatrzymał się i przysiadł, by przyjrzeć się dokładnie; pod jego wzrokiem (a moŝe tylko — znalazłszy się tak nagle poza swym zwykłym środowiskiem) czerwone kulki zaczęły się od siebie oddzielać i toczyć w róŝne strony, właŝdwie bez poŝpiechu, tylko z jakąś spokojną determinacją. A kiedy schylił się niŝej, tak samo bez popłochu zaczęły wnikać w wilgotny, lśniący piasek.

Kenn, nie ruszając się, ŝeby ich tym nie spłoszyć, przyglądał się kolonii koralowych zwierzątek, szukając przy tym dla niej jakiejś nazwy, tak jak wymyŝlił je dla wszystkich odkrytych przez siebie roślin i zwierząt. Nazwał ją wreszde w myŝli „oceanowcem”, bo nic innego nie przyszło mu do głowy; nazwa nie była specjalnie oryginalna, jak zresztą większość tych, które wynajdywał. Ale to było zupełnie bez znaczenia — tworzył je przedeŝ dla siebie, nie dla innych.

Uŝmiechnął się przelotnie — pomyŝlał, ŝe jest jak jakiś bóg, stwarzający swój ŝwiat — bezimienny, a więc nie istniejący w pewien sposób tak długo, dopóki on go nie odkrył i nie nazwał. I ŝe w

legendach o stworzeniu Wszechŝwiata brakowało mu zawsze tego jednego: wzmianki o ósmym

dniu, w którym stwórca mógłby, nazywając swój ŝwiat, Stworzyć go po raz drugi i ostateczny właŝnie poprzez nadanie imion temu, co zostało stworzone. Czuł się prawie wszechmocny, kiedy tak patrzył, pochylony nad piaszczystą ziemią swego nowego ŝwiata, jak ostatnie czerwone koraliki oceanowca

wsiąkają w piasek, wtapiając się w napotykanne na swojej drodze najmniejsze bodaj wgłębienia,

znikając tak dokładnie i tak bez ŝladu, jak gdyby nigdy nie były niczym więcej jak fantastycznym wytworem jego mózgu. Kiedy ostatnia kulka zniknęła z pola widzenia, zaŝmiał się dcho. Było w tym ŝmiechu trochę radosnej pychy: mógł tu istotnie być bogiem — łagodnym i dobrotliwym, ten ŝwiat

naleŝał do mego. Przypomniiał sobie kolonię tęczopławów i tamtą chwilę, kiedy w niepojętym

szaleństwie starał się uratować tę odrobinę tęczującego ŝyda wydzierając rękami ostre kamienie i stawiając zaporę czarnemu morzu;

tego dnia po raz pierwszy uŝył swej dobrej władzy ingerując w procesy zachodzące na tej planecie.

Ta myśl była krótka, pojawiła się i zniknęła — już nieistotna, nie pozostawiająca większego śladu w jego świadomości. Ale jakiś ślad przelotnego nastroju pozostał w nim, zaprzatając go na tyle, by odwrócić część jego uwagi od otoczenia, kiedy nareszcie podniósł się i poszedł dalej. Więc najpierw nie dostrzegł tego, że z wolna oddala się od morza, a potem, kiedy znalazł się już o jakieś trzysta metrów od brzegu — dużego krzewu wężowca. Skrzek jasnopłowej, pomarańczowo nakrapianej

jaszczurki ostrzegł go nazbyt późno; przystanął prawie w tej samej chwili, kiedy ostry, ruchliwy pęd chlasnął go po ramieniu rozrywając rękaw skafandra i znacząc ciało głęboką, ciętą raną — jak od noża.

Rzucił się w tył unikając drugiego ciosu jadowitego szablatego pędu; ten rios, zadany tak samo błyskawicznie jak pierwszy, tym razem trafił w próżnię. Kenn ścisnął zęby;

szarpał nim ostry, piekący ból — z trudem udało mu się zdusić bolesny jęk.

Przez chwilę stał nieruchomo, oddychając ze świstem przez zaciśnięte zęby i czując, jak wściekle bolesny kurcz wypręży wszystkie palce; część jadu spłynęła chyba z krwią, ale w ranie musiało zostać go jeszcze sporo; jednym z objawów jego działania były właśnie te kurcze. W ustach mu zasychało, żyły na skroniach zaczynały pulsować: od poranionej ręki rozchodziła się po całym ciele pierwsza fala gorączki.

Wstrząsnął nim dreszcz; wraz z nim poczuł podchodzącą do gardła, zaciskającą krtań nienawiść. Z nienaturalnym spokojem sięgnął do kieszeni na piersiach, gdzie zawsze nosił mały dezintegrator.

Palcami wyczuł chłód metalu, szarpnął, broń zaciągnął mu w ręce. Bardzo powoli zaczął podnosić ją do ramienia;

szczękał zębami i lodowate dreszcze utrudniały mu celowanie, ale nie zrezygnował: jakby gdzieś we

wnętrzu własnego mózgu zaćmiewanego wzrastającą gorączką widział już płomień, który za chwilę tryśnie z lufy dezintegratora, i płaty sadzy, w jakie zmienia się spopielone tym ogniem wijące się nad piaskiem, jadowite pędy. Jaszczurka zaskrzeczała znowu; z trudem udało mu się skupić rozbiegany wzrok na jasnopłowym stworzonku; jej krągłe, pomarańczowe oczka patrzyły na niego spod

płataniny węŜowca, nieruchome i jakby trochę zdziwione, **ale** bez śladu lęku. Poprzez ogarniające go otępienie gorączki wydało mu się nagle, Œe otacza go coraz więcej tych oczu wpatrujących się w niego pytająco, z jakimś bezosobowym

zaciekawieniem. To było tak, jak gdyby ta planeta była Œywą istotą, która aŜ dotąd obserwowała w milczącym oczekiwaniu jego poczynania, aŜ wreszcie, mając dość bierności, postanowiła go

doświadczyć i, wystawiwszy na próbę, przyglądała się znowu: jego nienawiści i jego chęci

niszczenia wyzwalającym się tak łatwo i tak bezmyślnie — bo skierowanym tym razem już nawet nie przeciw innej istocie umiejącej niszczyć i nienawidzić tak samo jak on, ale przeciw roślinie.

Wtedy, już półprzytomnie, pomyślał, Œe to jest jeszcze jedna pułapka — zastawiona na niego już nie przez tę planetę, lecz przez to wszystko, przed czym starał się udeć aŜ tutaj i przed czym udeć nie mógł. Bo nigdy, nigdzie nie zdoła się udeć przed sobą; przed tym wszystkim, czego nosidelem i

wyrazidelem jest człowiek sam. Tak długo, póki nie **zdoła** się tego pozbyć.

Przed godziną czuł się nieomal bogiem, potężnym i łaskawym, w zaślepieniu swoją — tak bardzo

ludzką — pychą, nie dostrzegając wcale, Œe cała ta łaskawość nie **była** niczym więcej, jak jeszcze jednym objawem ludzkiej megalomanii. Œe była aŜ tak krucha, Œe jedna napotkana przedwność mogła ją zmienić w przedągu krótkiej chwili w pragnienie niszczenia wokół siebie wszystkiego, co choćby przez przypadek i nieświadomie przeciwstawiało się jego woli.

Nie zauwaŜył, kiedy dezintegrator wypadł mu z ręki na piasek. **Był** bardzo chory, krędko mu się w głowie i nie mógł myśleć logicznie; zdawało mu się, Œe to jest jakiś egzamin, w którym

egzaminatorem i egzaminowanym jest w takim samym stopniu on sam. Potem w jego udrećzionym

gorączką mózgu pojawiła się znowu kolonia tęczopławów, a w chwilę później jadowity węŜowiec i

wsiąkające w piasek kulki oceanowca i — już pozornie bez najmniejszego związku — moment,

kiedy na Ziemi dokonał swego czynu, teŜ płynącego ze ślepej nienawiści. Rozumiał, Œe pomiędzy tym wszystkim jest jakiś istotny związek, choć teraz nie potrafiłby sprecyzować, na czym on mógł

polegać. Stradł przytomność. Nie czuł gorączki i wstrząsających nim dreszczy, bólu gwałtownych

kurczy ani nocnego zimna. Kiedy ją znów odzyskał, na niebie zapalały się czerwone blaski, a

chłodne, musujące powietrze wibrowało wysokim tonem śpiewającego piasku.

Był bardzo słaby, więc trwało długo, zanim zdołał, wspierając się na rękach, usiąść i — wdąŜ tak samo podparty — uklęknąć na piasku. WdąŜ jeszcze krędko mu

się w głowie i kaŜdy ruch wyzwał szarpiącą falę mdłości, ale przemógł to i — nadal klęcząc —

patrzył w dziejące się przed nim niepowstrzymanie rozkwitanie kolorów, w powolne narodziny świtu, który tak samo, w płomiennych, czerwonozłoty barwach nadchodził kaŜdego dnia od początku

istnienia tej planety. I patrząc, słuchając suchego trzasku towarzyszącego zapalaniu się, pełganiu i gaśnięciu tych światel — i srebrnej, wysokiej nuty śpiewającego piasku, poczuł się nagle tak, jak mógłby czuć się pierwszy człowiek na Ziemi, gdyby istotnie jakiś Bóg powołał go do Œyda, juŜ w pełni świadomego, zdolnego nie tylko pojmować, ale takŜe zachwycać się i dziwić temu wszystkiemu, do

czego ludzie w swym normalnym rozwoju zdąŜyli się przyzwyczaić na tyle, Œe stało się dla nich

rzeczą codzienną, nie budzącą juŜ wielkich olśnień ani zachwyoń. I patrząc tak, pomyślał, Œe ta planeta stała się dlań istotnie jakąś najwyŜszą próbą, która została dana mu po to, by mógł

odzyskać zmarnowaną przez samego siebie — przez swoją zaciekłość i nienawiść, a jeszcze

wcześniej przez obojętną bezmyślność — jakąś najistotniejszą cząstkę własnego człowieczeństwa.

Czuł się teraz juŜ o wiele silniejszy; organizm zniósł działanie jadu węŜowca lepiej, niŜ Kenn mógł

się spodziewać. Spróbował stanąć i to mu się udało. Bardzo powoli, chwiejąc się jeszcze na nogach, zaczął iść w stronę obozu; siły wracały mu teraz nieomal z kaŜdym krokiem. Szedł bez pośpiechu w blednących, czerwonozłoty blaskach nowego dnia, czując jakiś ogromny, nie zaznawany od

dawna spokój. Teraz gdy wreszcie zmierzył się z tym, co nosił w sobie tak długo: rozterką,

niepokojem i nienawiścią, kiedy zdołał pokonać je i odrzucić, pozbył się ostatecznie strachu, goryczy i rozpacz. I patrząc na rozświetloną, cichą gładź otaczających go piasków zrozumiał naraz, Œe owo uciszćtfe jest jakąś częścią porządku tej planety, Œe je zaczerpnął z naturalnych, niespiesznych procesów bytowania zamieszkujących ją istot, rządzonych tylko prawem niczym nie zakłóconego

plenienia się, dojrzewania i wzrostu. I Œe ten spokój jest w jakiś sposób jej dziełem. Tego samego dnia, kiedy siły wróciły mu na tyle, Œe czuł juŜ tylko nieznaczące pozostałości przebytej choroby, gorączki i znuŜenia, przystąpił do zaplanowanej rankiem selekcji:

metodycznie i spokojnie zaczął wywlekać z terenu obozowiska, z namiotu i kabiny „Aresa” to wszystko, co słuŜyło niszczeniu i zabijaniu. Był jeszcze nieco słaby, więc zanim skończył pracę, lepki pot zaczął występować na skórę,

ale nie zważał na to, że spokojną, upartą wytrwałością wykonując to, co sobie postanowił. Kiedy skończył, na piasku przed namiotem leżało sporo przedmiotów, które aż do tej pory wydawały mu się konieczne dla zachowania własnego życia — jak gdyby tylko zabijając i niszcząc człowiek mógł chronić się przed potencjalnym niebezpieczeństwem. A potem, obojętnie i jakby wyzwolony, zaczął zgarniać to wszystko na jeden stos, który mógłby spalić.

Wydało mu się, jakby w tej chwili planeta przyjęła go, uznała do końca i ostatecznie. I właśnie kiedy tak stał — spokojny, nareszcie sam z sobą pogodzony, usłyszał tamten głos. Dudniący, narastający w przedwieczornym powietrzu świst, jakby potężna siła darła z wściekłym wizgiem płyty pancernej blachy; odgłos kosmicznego statku przebijającego atmosferę.

„To niemożliwe — pomyślał. — Musi mi się wydawać. Gdyby nawet wiedzieli, gdyby udało im się zdobyć w jakiś sposób pewność, że jestem tutaj, poszukiwanie mnie na tej planecie, saganie mnie tutaj byłoby przede wszystkim działaniem zupełnie pozbawionym sensu. A więc to niemożliwe. Zdaje mi się tylko”. Ale się nie zdawało: huk silników olbrzymiał, jaskrawa smuga ognia darła mierzchnące niebo jak wymierzona w milczącą planetę strzała: kosmolot z każdą chwilą bardziej zbliżał się do jej powierzchni.

— Mówiłeś, że to wcale nie powinno być trudne — powiedział Pilot. Nie patrzył na Sierżanta; szczupły i zwinny w czarnej obdusłej kurtce stanowiącej typowe wyposażenie wszystkich kosmonawigatorów (i po tym właśnie można było rozpoznać, że to on jest Pilotem) pochylał się nad pomarańczowym płomykiem podgrzewacza, obracając niezdatny, krótki rożen, zaimprovizowany z czegoś, co w pierwszej chwili przypominało im nieco kolczastą gałąź jakiegoś krzewu, choć w końcu okazało się twardym, niepalnym tworem, martwym tak samo jak metalowy pręt. — Mówiłeś, że on nie wytrzyma tego upału i tych cholernych piasków. że wreszcie się załamie. A wtedy pozostanie tylko wpakować go do „Deimosa” i wracać z nim na Ziemię. Twierdziłeś, że to wszystko — z lądowaniem i startem — nie powinno zająć nam więcej niż dwa dni. Dziś mamy trzed, ale nic nie wskazuje, żeby on miał się poddać. żeby się załamywał...

Sierżant (zielono-żółta odznaka na rękawie mówiła, że jest tylko Sierżantem, choć aż Trzeciego Stopnia) przyglądał mu się przez chwilę — obojętny, spokojny, i nieubłagany w poczuciu jakichś

nadrzędnych racji, o których tamten — znający się jedynie na prowadzeniu statków przez mroźną pustkę kosmosu — nie mógł mieć wcale pojęcia. Zapytał:

— - Ty byś się nie załamał? Długo byś to wytrzymał? — A kiedy Pilot milczał, dorzucił: — On dziś się podda. Musi się poddać — do tej pory rozumiał, że nie ma żadnych szans.

Powietrze nad błękitnymi skałkami drgało od Saru; nie mieli czym oddychać, pot ściekał im po skórze. Białe, okrutne słońce oślepiało, odbite miliardami ogni od rozgrzanego, ostrego jak okruchy szkła piasku, na niebie — bladym i jakby przydymionym — a po horyzont **nie** było żadnej chmurki. Pilot oblizwał suche, spieczone wargi, powiedział — pozornie całkiem bez związku:

— On był naprawdę jednym ze Sprawiedliwych? Odwrócił głowę, po raz pierwszy podnosząc twarz:

nerwową szczupłą, a jednocześnie — twardą. Patrząc w uważne oczy Sierżanta mruknął z niespodziewaną, nawet dla niego samego, złością:

— No i coś z tego? Myślisz, że oni wszyscy są jacyś... **lepsi**

od całej reszty ludzi?

Przez chwilę patrzyli na siebie bez gniewu, ale i bez **sympatii**;

dwaj mężczyźni, tak bardzo różni, że złączyć ich na **krótco** mógł jedynie przypadek; zadanie, które właśnie im obu przypadło w udziale. A potem Pilot powiedział:

— Nie. Zastanawiałem się tylko, co on by odpowiedział, gdybym go spytał, na czym właściwie polega sprawiedliwość...

Tylko że Kenn — gdyby nawet to słyszał, mniej niż w jakimkolwiek momencie swego życia byłby zdolny udzielić odpowiedzi. Rozpłaszczony pod niskim nawisem skalnym, starając się uchronić przed tęjącym upałem w niewielkiej plamie skałowego cienia, obserwował przekrwionymi oczami dwie drobne, ciemne, znajdujące się jakieś trzysta metrów poniżej niego, poruszające się bez pośpiechu sylwetki, próbując znaleźć — dla siebie — jakąś odpowiedź. I nie znajdował.

Bo przecież prawo — od wieków — istniało wcale **nie** po to, aby tę sprawiedliwość, dość przecież abstrakcyjną, wymierzać, ale by bronić społeczeństwo przed wszystkim, co mogło stać się

przyczyną zagrożenia, niebezpieczeństwa, chaosu. To wiedział, akceptował, rozumiał: nie mogło być

inaczej. Ale ta wiedza kłóciła się ze wszystkim, co trzy minione dni przyniosły z sobą, dni, w ciągu których tropiono go i ścigano jak zwierzę, tu, gdzie nikomu nie mógłby już zagrozić, w imieniu społeczeństwa, którego śladne z jego poczynań nie mogło niepokoić, nie naruszając w niczym ustalonego ładu, odkąd sam, własnowolnie, usunął się spomiędzy tworzących ową społeczność ludzi. Stosowanie norm prawnych, które kiedyś z myślą o zagrożeniu społecznym skonstruowano, stawało się w tych warunkach czystym nonsensem, czymś jakby sztuką dla sztuki, mechanicznym przeniesieniem zasad logicznych i celowych w jakiejś pierwotnej i ściśle określonej sytuacji — w sytuację tak od tamtej odmienną, że owe normy prawne stawały się już tylko bezmyślnym postępowaniem, nie uzasadnionym przez jakąkolwiek konieczność.

Ostrożnie, uważając, aby nie zranić się o brzeg ostrej skałki, wychylił się ponad krawędź niewielkiej, płaskiej platformy, na której leżał; tamci, na dole zwijali teraz biwak; miał jeszcze trochę czasu, mógł

chwilę odpoczywać. Ale odpocząć mogło tylko znużone ciało, mózg wciąż pracował, zmagając się z myślami.

Dałby wiele, aby odgadnąć sposób myślenia tych pozostałych siedemdziesięciu dziewięciu (a może znowu — osiemdziesięciu; wakat nie mógł trwać aż tak długo) członków Kolegium, na chwilę przed tym, zanim głośno zaczęli wdskać klawisze zapalające nad pulpitem przewodniczącego czerwone światła. Myślała tak przede wszystkim; decyzja, podążająca za sobą konieczność wysłania statku kosmicznego na tak odległą planetę, wymagała przewagi co najmniej dwóch trzecich głosów wszystkich obecnych członków; ich rozumowanie nie powinno więc być niepojęte dla niego, który tak długo był jednym z nich.

Ale to wszystko nie zmieniło zupełnie faktu, że wciąż nic nie rozumiał, wciąż tylko się zdumiewał.

Może do końca miał już nigdy nie pojąć i wszystkiemu się dziwić. Jakkolwiek by nie było, nawet na zdumiewanie się nie miał już czasu; dwie, czarne na tle oślepiającego piasku, niezdarnie

poruszające się pod dęszarem upału ludzkie figurki od jakiejś chwili powoli, lecz uparde pięły się w górę, w stronę jego schronienia. Wyczołgał się spod skały — Śar słońca zwałił się nań natychmiast,

przydskając do rozpraŝonych piargów — i teŝ zaczął piąć się w górę. Był bardzo słaby i nogi trzęsły się pod nim; od dwóch dni jego posiłek stanowiły wyłącznie jadalne kłącza kolcokrzewów i choć zawierały nieco podstawowych

witamin, a nawet trochę białka, osłabł wyraźnie. Kiedy wspinał się w stronę niewielkiej przełęczki, serce waliło głucho, w oczach mroczyło, a struŝki potu męcząco i łaskotliwie zaczęły spływać po skórze. Trzeci dzień udawało mu się wymykać tak i kluczyć, wodząc tych dwóch po oślepiających łachach ostrego piasku, urwistych skałkach i rozpraŝonych południowym upałem kamiennych gruzowiskach, nad którymi powietrze zdawało się aŝ gęstnieć od ŝaru. Wymykać się tropiącym go ludziom i poŝcigowym robotom, które przywieźli ze sobą, promieniowaniu ich przenoŝnego radaru i zamiarom wywiadowczej rakietki; przeciwstawiając zaciekły, płynący z przeraŝenia i buntu, morderczy upór temu wszystkiemu, czego ci dwaj byli wysłańcami i reprezentantami. Powoli zaczynał tracić siły, udręczony pragnieniem, bezsennością i straszliwym gorącem południowych godzin. Ale wciąż jeszcze znajdował ich dosyć, aby iść dalej — z płucami rozdieranymi spazmatycznym oddechem, obolałymi mięśniami i wyschłym gardłem robiąc następny krok i starając się tylko wierzyć, ŝe to się musi skończyć, ŝe tamo są lak samo wyczerpani jak on.

W połowie zbocza upadł i leŝał dysząc, przygnieciony znuŝeniem i upałem; przed oczyma pojawiać się zaczęły wielkie, czerwone, leniwie wirujące kręgi. Wreszcie, podpierając się obydwoma rękami, zdołał się jakoŝ podnieść. Obejrzał się ponownie: ŝcigający byli tym razem o wiele bliŝej.

Nigdy nikogo nie nienawidził tak jak tamtych dwóch. **Za** ich bezduszną, morderczą obojętność, z jaką daŝyli za nim, nie dając mu nawet tyle czasu, by mógł trochę odetchnąć. Jego uczucia, myśli —

teraz i wtedy, kiedy popełniał ów czyn — nie obchodziły ich w najmniejszym choćby stopniu, byli tak obojętni jak poŝcigowe roboty, które teraz musieli zostawić na równinie. Więcej: w tym samym co tamte stopniu nie obchodził ich nawet sam czyn, który Kenn był popełnił;

przybyliby, gdyby zabił lub zdradził, naruszył prawa własności, rozpętał wojnę, albo przeciwnie — w przypadku rozpętania jej przez kogoŝ innego odmówił walki. Byłby dla nich niebezpiecznym

zwierzęciem, które trzeba dognać i schwytać, aby wymierzyć mu ziemską sprawiedliwość. ŝcigaliby go tak samo, byleby to, co zrobił, było objęte jednym z ludzkich zakazów, figurowało jako czyn

zabroniony: byli ucieleśnieniem tego wszystkiego, czym nie tak dawno był jeszcze on sam.

Patrząc na wspinające się po błękitnawych skałkach,

płaskie i czarne, jakby wycięte z blachy sylwetki, modlił się prawie o jakąś zwietrzałą skałę, która mogłaby — obruszona przez nieostrośny ruch, runąć na nich lawiną ostrych głazów, albo o jedno z owych czarnych kamienisk, zdradliwych tak jak bagno i wchłaniających wszystko, co znalazło się na jego powierzchni, jak ruchome piaski. Ale oni szli za nim, a więc byli bezpieczni — znał tę planetę lepiej niż tamci i to, co do niedawna zapewniało mu jakąś nad pogonią przewagę, tu, wśród skał

zaczynało obracać się przeciw niemu. Zmienił więc zamiar: zamiast wspinać się dalej, zaczął ześlizgiwać się w dół po dnie wąskiego Ślebu, nalanego nieruchomym, ciemnobłękitnym cieniem. Był

już w połowie drogi, kiedy usłyszał nad głową basowy, znany od trzech dni warkot: nadlatywała automatyczna rakieta wywiadowcza, za pomocą której tamci śledzili jego poruszenia, nie

pozwalając sobie ani na chwilę stracić go z oczu, a jemu na bodaj trochę spokoju. Tym razem Kenn zdołał wcisnąć się w prawie pionową rysę na jednej ze ścian Ślebu; rakieta nadleciała błyszcząc srebrzyście w słońcu i zaraz znikła;

Kenn miał nadzieję, że tym razem radiopelengatory nie zdołały go dostrzec. I po raz pierwszy od tych trzech dni poczuł — w gwałtownym skurczu serca — coś, co przypominało radość.

Oderwał się od zbocza i — nie starając się oszczędzać sił — zaczął najszybciej jak tylko mógł zsuwać się w dół po kamienistym dnie Ślebu, który powoli przechodził w łagodny, szeroki jar. Nawet w gęstym i nieruchomym cieniu upał zapierał oddech, Kenn dyszał ciężko; ten desperacki wysiłek

przeżytych w zawieszeniu i bez nadziei dni wyczerpał go ostatecznie.

W miejscu gdzie jar urywał się jak ucięty nożem, otwierając się na oślepiającą biel piasku, zatrzymał

się i przystanął. Na granicy światła i cienia nieruchomy sercodrzew wyglądał jak szara i niepokaźna skałka; z łkającym, wysiłonym oddechem Kenn, jak ślepiec, wyciągnął rękę w stronę szarego

drzewa i opadł na nie całym ciężarem. Oparł policzek o szorstką korę (a raczej o tę twardą i

chropawą powłokę, którą od biedy można było nazywać korą) i trwał tak, dygocący z nieludzkiego

zmęczenia, czując napiętym ciałem milczące pulsowanie drzewa; to było tak, jak gdyby sercodrzew oddychał teraz z nim razem — głęboko i zachłannie. A potem, stojąc tak i ciągle nasłuchując tego podwójnego oddechu, stwierdził, że jego własny uspokaja się z wolna, zaczyna robić się bardziej regularny.

Wkrótce mógł już iść znowu, więc — jeszcze niechętnie, przemagając zmęczenie ciężące wszystkim

mięśniom — oderwał się od drzewa. Zrobił krok, potem drugi; szedł niepewnie, chwytając się i potykając co chwila, ale już znowu owa potężna wola wytrwania, upór, który dawał dość siły, by przeciwstawić się choćby całemu światu, zaczynały w nim działać. Raketka przeleciała ponownie, kiedy stał osłonięty konarami sercodrzewa — nie mogła więc go „zobaczyć”, a teraz nie nadlatywała jakoś; wyglądało, że zatacza coraz to większe koła, by znowu go odnaleźć. Jeśli zdołałby się gdzieś ukryć, ścigający stracą co najmniej pół dnia, nim go wytropią; zaczynał wierzyć, że nie zdołają dokonać tego przed nocą. A gdy zapadną ciemności, potrafi może zgubić ich już na dobre. Po raz pierwszy odkąd zaczęła się jego ucieczka, miał jakiś cień nadziei. Zaczął obchodzić skałki, poszukując kryjówek. Szczęście, które tak długo nie chciało mu dopomóc, dopisało tym razem — o kilka metrów dalej zobaczył głęboką skalną szczelinę, ledwie widoczną spod płataniny kolcokrzewów. Ostrożnie, omijając twarde, czerwone kolce, zaczął pisać się w tę stronę. Nie wiedział jeszcze, co robi, jeśli istotnie zdoła się wymknąć obławie. Jednego był tylko pewien: jego znajomość terenu i niebezpieczeństw planety dawała mu teraz przewagę. Tym razem nie cofnie się przed niczym, aby ją wykorzystać, chociażby nawet miał zniszczyć oba statki. Te same myśli przychodziły do głowy tak samo tamtym dwóm:

Pilotowi i Sierżantowi, kiedy nie zważając na światło białego słońca śledzili okrążenia raketki; zatoczyła jeszcze pięć kręgów, coraz to szerszych — bez żadnego efektu.

— No to koniec — powiedział wreszcie Pilot. Nie wyglądał na zmartwionego, z wyraźną ulgą wytarł rękawem twarz.

— Nie będziesz przecież siedział do końca świata na tej piekielnej planecie, ryzykując udarem i czekając, aż on zdecyduje się wyleźć. Zresztą, na jego miejscu, wylazłbym tylko po to, by zniszczyć statki, a wtedy będziemy mogli mówić, że mamy szczęście, jeśli nie będzie nas na żadnym z nich.

Ale Sierżant uśmiechał się chępliwie, z wielką pewnością siebie.

— Poczekaj — powiedział wreszcie. — Poczekaj, a zobaczysz.

Kenn leżał nieruchomo w swojej kryjówce, starając się nie myśleć o pragnieniu, które od kilku godzin wysuszało mu język i wargi, kiedy usłyszał głos jednego z dwóch

ścigających go ludzi; nie słyszał nigdy żadnego z nich,

a przecież był prawie pewien, że tak może przemawiać tylko

Sierżant.

— Zastanów się — głos dochodził wyraźny, chociaż
stłumiony, jak gdyby tamten mówił przez metalową tubę. —

Liczę do pięćdziesięciu. Jeśli się nie poddasz, włączę
dexymilator. Wiesz, jak to działa. Nic nie jest w stanie
powstrzymać rozpadu cząstek, kiedy ten raz się zacznie.

Planeta pójdzie w diabły. Ty także. Jeśli nie jesteś jakimś
cholernym samobójcą — będziesz musiał wyleźć ze swojej
dziury i wracać z nami na Ziemię...

Głos zamilkł i cisza — napięta, nieomal dotykalna —
zawisała znów nad równiną. Kenn wcisnął się głębiej **pod**
nawisły blok skalny, starając się znaleźć pod nim
schronienie przed pionowymi promieniami słońca
buchającego sarem jak rozpalony metal; nawet ten ruch
wystarczył, by znowu poczuć na skórze lepka wilgoć potu;
nie było czym oddychać.

Tak, wiedział, jak to działa. Włączenie dexymilatora było
impulsem rozpoczynającym powolną reakcję jądrową materii
stałej, nie zatrzymującą się tak długo, dopóki nie wyczerpie
się substancja zdolna reagować i póki — w postępującym
procesie łańcuchowego rozpadu cząstek — nie zniknie cała
planeta, nie rozsypie się w radioaktywny pył. Ale wiedział
także, że właśnie tego nie wolno im zrobić.

Skrzywił się drwiąco, niedosięgłszy w swoim bezpiecznym
ukryciu; mogli go tylko bez powodzenia straszyć:

Konwencja Czterech zabraniała wzbudzania reakcji łańcuchowej na wszystkich tych planetach, na których znajdowały się — najprymitywniejsze chociażby — formy Źyda. LeŜąc nieruchomo, wtulony w rozpadlinę, miał jeszcze dągle na twarzy ten grymas, kiedy spazm przeraŜenia przydusił go do skały. Dla tamtych — planeta mogła być martwa!

Zachłysnął się oddechem; przypomniał sobie pierwsze dni tutaj, kiedy na kaŜdym kroku upewniał się, Źe nie ma nigdzie ani śladu Źyda. Ten świat i dla nich mógł wdaŹ być hermetycznie zamknięty; nie mieli przedeŹ czasu, Źeby zatrzymać się i przyjrzeć otoczeniu, nazbyt zajęd tym, co ich tu sprowadziło; nieuwaŜni, skoro jedyne, co ich interesowało, to był ten poŹdg. Niszczący wszystko bezmyślnie, zaprzątnieđ tylko tym jednym: misją, którą w swym przekonaniu przybyli tu wykonać. Zaczął wypełzać spod skalnego nawisu — teraz nie myślał, teraz to wszystko było serią obrazów przesuających się

w przyspieszonym tempie pod jego zaciśniętymi powiekami:

sercodrzewa, oddychające tak samo, jak i człowiek, oceanowiec rozsypujący się w koralowe kulki w ucieczce przed kaŜdym obcym dotknięciem, kolcokrzewy, które z początku brał za przedziwne twory geologiczne, oślepiająco barwna, celowa krzątanina tęczopławów... Dla tamtych to wszystko mogło nadal nie istnieć, całe to Źyde, zamierające w nieufnym oczekiwaniu, ilekroć stykało się z

Nieznany. JuŜ stał (nie wiedząc nawet, w jakim momencie zerwał się był na nogi) i zaraz — prawie w tej samej chwili, zanim jeszcze mógł sobie uświadomić, co robi — zaczął przedzierać się przez kolczaste zarośla. W połowie stoku potknął się i upadł, natrafiając na ostrą skałkę, jej kraweđz rozdarła rękę niemal aŹ do koŹd. W kaŜdym innym momencie pomyślałby o powstrzymaniu płynącej krwi, ale tym razem to nie było waŜne. Biegl. Biegl tak długo, póki nie zbliŹył się do tamtych na odległość, pozwalającą mieć juŜ nadzieję, Źe go usłyszą. Dopiero wtedy przystanął i osłaniając usta stulonymi dłońmi, zawołał:

— Nie włączać dexamilatora! Poddaję się! Schodzę! Było za późno. Przed sobą, w samym Źrodku łaŹy lśniącego piasku, zobaczył oślepiający, zjadliwie zielony błysk i dym unoszący się cienkim pasmem nad płataniną kolcokrzewu. Zachwiał się, potknął i upadł. LeŜał na diamentowym

połyskującym piasku, którego ostre kryształki wpijały się w jego skórę iskrami bólu, i patrzył, jak ten piasek coraz to bardziej nasiąka jego krwią, płynącą z rozciętej ręki. Było mu wszystko jedno; leŜąc tak, dysząc i patrząc na własną krew zabarwiającą piasek obcej planety, pomyślał, Źe moŹe się wykrwawić; z obojętnością starał się wyobrazić sobie twarze tych dwóch, Źcigających go z tak

niepojętym uporem, jeśli zobaczą, że przybyli za późno. Odetchnął głęboko; krew popłynęła szybciej, jak gdyby to, co uchodziło z niego razem z jego zawziętością i siłą, zatrzymywało się dotąd w swym triumfalnym pochodzie, czekając na ten oddech. „Tylko że oni umrzeć mi tego nie dadzą, tak jak nie dali mi tutaj życia. Bo gdybym umarł, to byłby tego jakiś sposób udeczki. Więc nie pozwolą, by ta planeta naprawdę mnie zabiła, tak jak nie pozwolili, żeby stała się dla mnie na resztę życia schronieniem”. Wtulił twarz w piasek i leżał obojętny, jakby to wszystko, co stanie się z nim teraz, nie dotyczyło go w najmniejszym choćby stopniu.

Leżał tak samo, kiedy Sierżant i Pilot dobiegli i pochylili się

nad nim — już nie pragnącym walki, nieopomym, patrzącym na nich oczami pustymi i płaskimi jak dwa kamyczki, oczami, w których było tak wiele obojętności i milczącej pogardy, że zauważył to nawet Sierżant.

Przez chwilę stali nad nim, bezradni, nie umiejący jeszcze wykorzystać swojego triumfu — zupełnie tak, jakby ostateczne zwycięstwo zaskoczyło ich samych, jak gdyby nie wiedzieli, co mają z nim zrobić.

— Dlaczego on tak patrzy? — zapytał wreszcie Pilot.

— Cóż, chyba nie zwariował — zakonkludował Sierżant. — Choć wcale bym się nie dziwił, gdyby pomieszało mu się w głowie od tego wszystkiego. — I zwracając się do milczącego, dągle tak samo patrzącego martwymi oczami Kenna: — Przede wszystkim nic nie zrobię. Nikt nie zamierza zrobić ci żadnej krzywdy, przejdziesz tylko korektę i będziesz mógł wrócić do swoich zajęć, swojego domu i Sony — czy kogo ty tam masz. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Byłeś jednym ze Sprawiedliwych, a więc ty bardziej niż ktokolwiek powinieneś zrozumieć, że musieliśmy to zrobić. I to, że — cokolwiek by się działo — musi być sprawiedliwość... Ale Kenn błysnął dziko oczami i milczał. W duszy, która zapadła, słychać było tylko daleki syk płomienia.

Przez tylny iluminator wpadało dągle jeszcze czerwone światło łuny; planeta poza nimi wyglądała teraz jak rozszarzony, wiszący nieruchomo meteor, nasączający swoim upiornym blaskiem połowę czarnego nieba. Płonęła ciągle — i to miało trwać tak długo, dopóki cała jej masa nie zostanie do końca wyczerpana i rozłożona na poszczególne atomy i póki ostatni atom nie rozpadnie się we wszechogarniającym procesie łańcuchowego rozpadu.

— Szkoda — powiedział Sierżant. — Planeta z atmosferą, która pozwala normalnie poruszać się i oddychać bez taszczenia ze sobą całej aparatury i bez skafandra. Można by było jakoś ją

wykorzystać. Znalazłoby się dość ludzi zwariowanych, tych ekscentryków, którzy zgodziliby się płać kaŝde pieniądze za to, Ŝe tu przyjadą, takich, którzy by chdeli sfilmować się na tle tego morza, czarnego jak jakaś smoła, i tych niebieskich skał, Ŝeby na Ziemi móc się potem pochwalić, Ŝe byli tutaj, słuchali śpiewających piasków i widzieli na własne oczy wschody tutejszego **słońca** i plaŜę, która wygląda, jakby ktoś ją posypał drobno tłuczonym szkłem. To dałoby się zrobić: trzeba by tylko paru cwanych chłopaków, którzy umieliby to zorganizować.

Ze dwa statki, kursujące pomiędzy tą planetą i Ziemią.

Kilka duŜych hoteli w pasie wybrzeŜa — luksusowych,

z klimatyzacją, dobrym Ŝarciem, dancinŜiem, coctail-barami

i uprzejmą obsługą. Trochę rozrywek — bo przecieŜ nikt nie

da rady gapić się tylko na piaski, morze i te błękitne skały...

Wiesz, trochę takich turystycznych rozmaitości; jakaś

kolejkę linową, którą spod samych hoteli moŜna by było

dojechać do tamtych skał, wygodne kąpielisko, baseny

z normalną, czystą wodą, lunapark i parę kiosków

z parówkami i piwem... WyobraŜasz sobie, jak mogłoby tu

być fajnie?

Zamilkł, bo z tyłu doszedł go jakiś dźwięk: coś między

kaszlem a nagłym zachłyśnięciem. Odwrócił się gwałtownie;

przez chwilę patrzył zdumionymi oczami na wstrząsaną spazmatycznymi drgawkami, skuloną postać

w poszarpanym skafandrze, a potem, poprzez róŜowy mrok rozjaŜniony tylko drganiem kontrolnych

Ŝwiateł, zobaczył takŜe tę twarz:

opuchniętą i czarną, z oczami błyskającymi dziko, zakrzepłą, martwą, nic nie wyraŜającą od wczoraj,

jak gdyby była twarzą kogoś juŜ umarłego. Patrząc tak, dostrzegł nagły, wykrzywiający ją skurcz; po obróconym w jego stronę policzku spływało coś połyskując w mroku i Ŝłobiąc jaŜniejszą bruzdę w

skorupie potu i brudu. A potem znowu usłyszał tamten dźwięk.

— Co się stało? — zdenerwował się Pilot.

— Nic. — powiedział SierŜant. — Nic. **On** się śmieje.

Sprawa precedensowa

— **OskarŃony Rand Wharton!**

— Data i miejsce urodzenia?

— San Jose, Kalifornia. **Drogi lipca 2039 rok.**

— Zawód oskarŃonego?

— InŜynieria kosmiczna. Specjalność: budowa **silników** napędowych próbników-sond kosmicznych.

— Do obowiązków sądu naleŜy pouczenie oskarŃonego o tym, Ńe ma on prawo odmawiać odpowiedzi na zadawane w toku przewodu sądowego pytania i nie jest zobowiązany do zeznawania prawdy, jeŃeli — jego zdaniem — zeznania takie mogłyby obrócić się przeciw niemu. Czy pouczenie to jest jasne dla oskarŃonego?

— Najzupełniej, wysoki sádzie.

— Sąd moŃe więc przystąpić do przesłuchania... Akt oskarŃenia zarzuca Randowi Whartonowi, urodzonemu 2 lipca 2039 roku w San Jose, Kalifornia, konstruktorowi silników sond kosmicznych, Ńe w dniu 12 stycznia 2079 roku, czasu ziemskiego, pełniąc dyŜur na pokładzie kosmicznej stacji doświadczalnej Oberon Delta-2 zabił wystrzałem w głowę swojego towarzysza, pilota Ruiza Estebana Passadene. Czy oskarŃony przyznaje się do winy?

— Zabiłem Passadene. Był niebezpieczny. Nie miałem innego wyjścia.

— Czy oskarŃony chce przez to powiedzieć, Ńe działał w obronie własnej?

— Nie. Passadena nie zagraŃał mi bezpośrednio. **ZagraŃał** kosmicznej stacji doświadczalnej Oberon Delta-2.

— Na czym polegało to zagraŃenie?

— W ataku szału, wywołanym przedawkowaniem ultimatoxu, Passadena usiłował zniszczyć główny komputer stacji.

— Jako inŜynier kosmiczny, oskarŃony musiał być w pełni świadom, Ńe uszkodzenie bądź nawet całkowite zniszczenie komputera nie oznacza niebezpieczeństwa dla statku ani jego załogi.

— Istotnie, wiedziałem o tym.

— Uszkodzenie takie mogło tylko uniemożliwić kontynuację programu. Trudno przyjąć, by stanowiło to motyw popełnionego czynu; sąd nie dostrzega żadnego logicznego związku między programem stacji a dokonanym zabójstwem.

— Postaram się wyjaśnić. W pamięci komputera znajdował się pełny zapis prac konstrukcyjno-badawczych

przeprowadzonych na naszej stacji doświadczalnej. Były tam, unikalne, rewelacyjne wyniki. Nie mógłbym ich odtworzyć. Więcej: być może trzeba by kilkuset lat, zanim ktokolwiek zdołałby je powtórzyć. Za żadną cenę nie wolno było dopuścić, aby przepadły.

— Czy oskarżony mógłby rzeczowo, a jednocześnie

w sposób zrozumiały dla нефachowców wyjaśnić sądowi **aa**

czym polegała niecodziennosc uzyskanych wyników?

— Tak, to dość proste. Program roboczy stacji obejmował budowę i wypróbowanie dziesięciu prototypów sond-

—observerów, przeznaczonych do wykonywania badań w obcych systemach planetarnych. Budowę

każdego z tych prototypów miał programować i nadzorować centralny komputer statku Oberon

Delta-2. W trakcie wykonywania tych prac — przypadkiem, na skutek przedostania się nie

kontrolowanej informacji do wstępnych założeń programu — komputer skonstruował próbnik zdolny poruszać się z szybkością nadświetlną...

— To przecieś niemożliwe!

— Komputer, znajdujący się na Oberonie, charakteryzuje wysoki stopień samodzielności. Jest to elektroniczny mózg typu alfa-Univer 1, pracujący niealgorytmicznie, a więc nie według

zeterminowanej do końca instrukcji działania. Po przekroczeniu pewnej granicy określonej w

programie działa metodą prób i błędów, poszukując rozwiązań optymalnych w obrębie wynikających

z programowych założeń alternatyw. Ilość tych alternatyw może być bardzo duża. Dlatego

rozwiązanie problemu na pozór nierozwiązywalnego nie jest w tym przypadku niemożliwe...

— Wyrażając swoją wątpliwość, sąd nie kwestionował możliwości zbudowania sondy kosmicznej poruszającej się z szybkością nadświetlną przez komputer, ale prawdopodobieństwo skonstruowania takiej sondy w ogóle. Niemożliwość budowy obiektów poruszających się z prędkością większą od prędkości światła została dawno niezbicie udowodniona: byłoby to przeciwne prawom natury.

— Prawom natury, jakie udało się poznać przy obecnym stanie naszej wiedzy, wysoki sędzie... Co nie oznacza, że poznaliśmy już wszystko. Chciałbym przypomnieć, że na początku XX stulecia za niemożliwe uznano przekroczenie tak zwanej bariery dźwięku, udowadniając to tak w sposób naukowy. Jak wiemy, bariera ta została przekroczona w niespełna pół wieku od chwili przeprowadzenia tego — uważanego wówczas za niepodważalny — dowodu.

— Wcześniej jednakże ludzkość poznała prawa, których zastosowanie warunkowało konstrukcję obiektów naddźwiękowych. Czy oskarżony uważa, że skonstruowanie czegoś, czego budowa i zasady działania są konstruktorom nie znane, jest w ogóle możliwe?

— Przy założeniu dość szerokiego programu i przy pomocy komputera tej klasy co alfa-UNIVEX — tak. Dzisiejsza technika pozwala człowiekowi tworzyć wyprzedzając stan jego własnej wiedzy... Dowodem jest tu zapis naszego elektromózgu: sonda poruszająca się z szybkością nadświetlną została przecież istotnie skonstruowana.

— Sąd we właściwym czasie włączy zapis komputera do materiału dowodowego. Obecnie przyjmuje do wiadomości stwierdzenie oskarżonego, że obserwator poruszający się z taką właśnie szybkością został na stacji naukowo-badawczej Oberon Delta-2 istotnie skonstruowany — uważając tym samym kwestię za wyczerpaną. Jednocześnie sąd zwraca uwagę oskarżonego, że okoliczności związane z zabójstwem Ruiza Passadeny nie zostały do końca wyjaśnione. Proszę kontynuować.

— Po przekazaniu na Ziemię informacji o dokonanej odkryciu Oberon Delta-2 otrzymał rozkaz zmieniający pierwotnie ustalone zadanie: mieliśmy odtąd prowadzić badania nad konstrukcją silnika,

mogącego nadać obiektowi kosmicznemu szybkość nadświatlną.

— Na czym badania owe miały polegać?

— Nie znany był nam proces dedukcji, który w swym ostatecznym wyniku doprowadził do tego odkrycia, nie wiedzieliśmy takŜe, w wyniku jakiej informacji wejściowej otrzymaliśmy taki właśnie rezultat. Wiedzieliśmy jedynie, Ŝe przekroczenie bariery światła jest całkowicie realne. Resztę trzeba było odtworzyć...

— Badając wykonany prototyp?

— To było niemoŜliwe, znajdował się juŜ poza naszym zasięgiem. Z obliczeń wynikało, Ŝe oddala się od granic naszej Galaktyki.

— W jaki więc sposób mielibyście kontynuować badania?

— Nie stanowiło to większego problemu tak długo, dopóki istniał komputer Oberona; dane wejściowe, proces „myślenia” samego komputera, jak i późniejszy — budowy kaŜdej z konstruowanych na naszej stacji sond, zapisywany był w pamięci Univera. Był więc do odtworzenia

— oczywiście tak długo, jak długo istniał ten właśnie komputer...

— I ten komputer chdał zniszczyć Pasadena?

— Tak jest, wysoki sędzie. To miałem na myśli mówiąc, Ŝe mój towarzysz zagraŜał programowi stacji kosmicznej Oberon Delta-2. Zniszczenie Univera oznaczało kompletne fiasko wszelkich naszych poczynań. MoŜliwość, która niespodziewanie otwarła się przed ludzkością, przepadłaby bezpowrotnie na wiele lat, być moŜe nawet na zawsze. Musiałem więc go zabić. Jak juŜ zeznałem: nie miałem innego wyjścia.

— Zdaniem oskarŜonego jest to wystarczający powód, aby pozbawić Ŝyda inną ludzką istotę?

— W tej sytuacji — tak. Przedwagę tego jednego Ŝyda stanowiło coś niepomiernie większego. Nie będzie Ŝadnej przesady, jeŜeli powiem, Ŝe dokonane na Oberonie odkrycie moŜe przed ludźmi otworzyć cały kosmos... Ŝe pozwoli im sięgnąć nie tylko poza granice Układu Słonecznego, lecz nawet — poza Lokalny Układ Galaktyk... NiemoŜliwość poruszania się z szybkością nadświatlną, tak zwana bariera światła, zamykała drogę do dalszych gwiazd, przykuwała ludzkość do swego Słońca.

Bo pokonanie tak wielkich odległości wymagałoby pokoleń rodzących się i umierających w

odbywającym drogę ku tym systemom statku...

— Odkrycie, dokonane na stacji doświadczalnej Oberon Delta-2, mogło tę sytuację zmienić w sposób istotny?

— Wysoki sędzie — gdyby uśyto statku poruszającego się szybciej niż światło, podróż do gwiazd znajdujących się w odległości kiloparseka można by odbyć parokrotnie w dągu jednego ludzkiego życia!

— Dziękuję, to wystarczy. Sąd nie ma więcej pytań. Rzecznik oskarżenia może przystąpić do badania oskarżonego.

— Z dotychczasowych zeznań oskarżonego wynika, że mógł on, nie ryzykując życiem — własnym ani też śadnej innej osoby — uniknąć zabójstwa Ruiza Passadeny. Czy tak?

— Sądzę, że na to pytanie odpowiedziałem już wyczerpująco...

— Sąd zwraca oskarżonemu uwagę, że nie do niego należy ocena celowości zadawanych mu pytań. Proszę udzielić odpowiedzi na pytanie rzecznika oskarżenia.

— Tak. Mogłem uniknąć zabójstwa Passadeny. Ale wówczas on zniszczyłby komputer z zakodowanym unikalnym programem.

— Informacja, której zakodowanie w programie Univera spowodowało zbudowanie przez niego urządzenia zdolnego

osiągnąć szybkość nadświetlną; nie została wprowadzona celowo?

— Nie. Jak już wspomniałem — informacja ta nie była zamierzona.

— Można więc uznać, że owo nieoczekiwane odkrycie zostało dokonane wskutek pomyłki programującego — krótko mówiąc, że jego zasadniczą przyczyną był popełniony przez programującego błąd?

— Nie sądzę, aby błąd ten popełnił człowiek, układający program dla komputera. Przypuszczam raczej, że pomyłka była mechaniczna i wynikła z mylnego odczytania zakodowanych informacji, co

— zwaŝywszy ostateczny efekt tego mylnego odczytu — moŝna nazwać pomyłką tylko z punktu widzenia określonego zadania, którym była budowa kolejnej sondy kosmicznej poruszającej się z konwencjonalną szybkością.

— W momencie programowania maszyny nie istniał ŝaden inny. A więc nie sposób przeczyć, ŝe do odkrycia, które sam oskarŝony określił jako naukową rewelację, doszło na skutek pomyłki, którą oskarŝony woli nazywać przypadkiem... Nie świadczy to, jak sędzę, na korzyść programującego?

— Uwaŝam takie stawianie sprawy za zbytne uproszczenie problemu.

— Sądy oskarŝonego nie są tu miarodajne. **Proszę o jawą** odpowiedź — przeczącą lub twierdzącą

— na **postawienie** pytanie.

— Odmawiam odpowiedzi.

— Czy mam rozumieć to jako odmowę odpowiadania **na** wszelkie dalsze pytania dotyczące tej kwestii?

— Tak.

— Rozwaŝmy więc kwestię drugą: skoro bezpośrednim twórcą obiektu, samym swoim istnieniem obalającego pewnik o nieprzekraczalność bariery światła — mam oczywiście na myśli ową sondę kosmiczną — był mózg elektronowy, a więc maszyna, nie mająca osobowości fizycznej ani prawnej

— kto zostałby uznany za autora dokonanego odkrycia, mogącego istotnie stać się przewrotem naukowym?

— Twórca programu, którego realizacja była przyczyną takich właśnie wyników.

— Teŝ tak sędziłem. Czy oskarŝony zechce wyjawić wysokiemu sądowi kto, personalnie, był twórcą tego programu?

— Zwracam uwagę, ŝe przemilczanie nic nie da, te dane znajdują się bowiem w dzienniku badań stacji i w kaŝdej chwili mogą być powołane jako jeden z dowodów.

— Nie zamierzałem odmawiać odpowiedzi.

— Tym lepiej. A więc: kto zostałby uznany za autora Odkrycia lub — mówiąc innymi słowami — kto wprowadził ów program do komputera?

— Ja.

— Wysoki sędzie! Oskar Sony, składając swe zeznania, dość zręcznie usiłował usprawiedliwić zabójstwo Ruiza Passadeny stanem wyższej konieczności, którą to — jego zdaniem — stanowiła ochrona zakodowanego w pamięci komputera programu. Bardzo przekonująco postarał się przedstawić doniosłość swego odkrycia, jego znaczenie — nie tylko dla dalszego rozwoju nauki i techniki, lecz wręcz dla przyszłych dziejów gatunku homo sapiens. Przyjmując to założenie, wypadki, jakie miały miejsce na stacji doświadczalnej Oberon Delta-2, należałoby ocenić z punktu widzenia jakiejś niemal nadludzkiej etyki. Decyzja oskarżonego — zabić, aby ocalić dobro całej ludzkości, nabiera w tym oświetleniu wymiarów heroiczych. Prawdopodobnie zresztą oskarżony w tym właśnie celu wybrał taką linię obrony... Zastanówmy się jednak, czy te pobudki byłyby do przyjęcia, czy wytrzymują one zwykłą próbę logiki... Nasuwa się pytanie: czy można uznać za rzecz zwyczajną, czy choćby zrozumiałą, zabójstwo dokonane w imię twórczości naukowej, jakiegokolwiek, choćby najbardziej przełomowego odkrycia? Pytam oskarżonego: czy byłby zabijał tak, by chronić od zniszczenia największe nawet dzieło myśli ludzkiej — jeśli sam nie byłby jego twórcą?

— Nie zastanawiałem się nad tym nigdy, sędzę jednak, że tak.

— Czym oskarżony motywowałby takie postępowanie?

— Jak wspomniałem, nie rozważałem nigdy tej możliwości, wydaje mi się jednak, że — mając do wyboru bezpowrotną utratę czegoś, co miałoby doniosłe znaczenie dla ludzkiej cywilizacji, albo Śycie jednostki — wybrałbym zawsze to, co uważam za zło mniejsze...

— To znaczy — śmierć człowieka? Zdaniem oskarżonego istnieją więc wartości nadrzędne, w imię których ma się moralne prawo poświęcić z całym rozmysłem Śycie ludzkiej?

— Tak.

— I taką właśnie rzeczą było jego odkrycie?

— PrzewycięŚenie bariery Światła jest sprawą wielkiej wagi z punktu widzenia przyszłości naszego globu.

— Dlatego, Śe zostało dokonane przez oskarŚonego?

— Nie. Dlatego, Śe zostało dokonane w ogóle.

— Czy oskarŚony pomyślał jednak o tym, Śe decydując, iŚ ceną tego odkrycia musi być Śyde Ruiza Passadeny, uzurpował sobie prawo dokonywania wyboru w imieniu całej ludzkości?

— Być moŚe. Ktoś jednak musiał o tym zdecydować. Byłem jedynym — jeśli nie liczyć Ruiza Passadeny — przedstawicielem tejŚe ludzkości na pokładzie stacji kosmicznej Oberon Delta-2, a więc jedynym mogącym podjąć jakiegokolwiek działanie w chwili, gdy Passadena zaczął niszczyć komputer...

— I oskarŚony uwaŚa w dalszym dągu za właśdwe to, co wówczas uczynił?

— Tak, oczywiście. Jak zeznałem przed chwilą, w sytuacji — Śyde jednostki a dobro wyŚszego rzędu, odpowiedź, moim zdaniem, musi być jednoznaczna.

— NiezaleŚnie od tego, kto byłby tą jednostką?

— Z logicznego punktu widzenia: tak.

— Czy takŚe wtedy, gdyby to o oskarŚonego chodziło?

— Musiałbym uznać nawet wówczas logikę takiego rozumowania. Co nie oznacza, Śe nie byłbym się bronił. Instynkt samozachowawczy jest bardzo wielką siłą.

— Passadena bronił się takŚe?

— OskarŚony, starając się uwiarygodnić powodujące nim rzekomo w chwili zabójstwa Passadeny motywy, zapomina, Śe z punktu widzenia najprostszej ludzkiej moralność czyn, jakiego się dopuścił, jest zbrodnią, a motywy przedstawione wysokiemu sądowi — niewiarygodne, a co najmniej

nieprzekonywające... Fakty, wyłaniające się z dotychczasowych zeznań oskarŚonego, moŚna

interpretować o wiele prośdej. Rand Wharton przypadkiem dokonuje epokowego odkryda, którego

— gdyby nie ów przypadek — zapewne nigdy by nie dokonał. Odkrycie jest bez wątpienia doniosłe.

A sława naukowa z jego dokonania, wraz z zawrotną karierą, przypadnie Randowi Whartonowi...

— Wysoki sędzie...

— Sąd upomina oskarżonego. Proszę nie przerywać wywodu rzecznika oskarżenia.

— Rand Wharton nie może liczyć na to, że przypadek **da** mu raz jeszcze aż tak wielką okazję; jest to dla niego —

jak podkreśliłem przed chwilą — jedyna i niespodziewana szansa naukowego sukcesu. Tę szansę

postanawia więc wykorzystać za wszelką cenę. Ceną jest życie ludzkie, lecz oskarżony nie waha się ani przez chwilę. Zabija Passadene, kiedy ten staje na jego drodze do kariery i sławy... Albowiem Passadena, niszcząc komputer, nie stanowił w oczach oskarżonego zagrożenia odkrycia będącego

dobrem całej ludzkości — jak starano się tu przedstawić — lecz był osobistym wrogiem, niszczącym przyszłość Whartona. Więc ten oskarżony traktuje go jak wroga. Gorzej: jak martwy przedmiot... Czy choć przez moment zastanowił się nad tym, że ma przed sobą człowieka chorego, działającego pod

wpływem zatruta? Nie — Ruiz Esteban Passadena ani na chwilę nie był dla niego istotą ludzką,

towarzyszem, któremu trzeba pomóc! Był jedynie przeszkodą. Oskarżony morduje go z zimną

krwią...

— Nie!

— ...w wyrachowany sposób usuwając ze swojej drogi ową przeszkodę, utrudniającą dojście do

wytyczonych, egoistycznych celów, mogącą uniemożliwić spełnienie planów wyhodowanych przez jego chorobliwie wybujałą ambicję...

— Nie!

— Oskarżony zaprzecza, że dokonane na Oberonie odkrycie mogło mieć, przede wszystkim, znaczenie dla jego własnej przyszłości?

— Zaprzeczam.

— I oskarżony nadal gotów jest twierdzić, że taką jak on decyzję podjąłby każdy?

— Tego nie wiem... Nie twierdziłem, że w takiej sytuacji identycznie postąpiłby każdy inny człowiek.

Wiem tylko, że ja nie mógłbym postąpić inaczej, niż postąpiłem. Gdyby to wszystko stało się po raz drugi — znów bym go zabił...

— Wysoki sędzie! To, co usłyszeliśmy w tej chwili, jest nazbyt wstrząsające... a przy tym tak jednoznaczne, że zbędne stają się wszelkie komentarze. Oskarżony nie tylko nie śluguje popełnionego czynu, ale nie usiłuje udawać nawet takiego ślugu... Przedwnie: z całym cynizmem stwierdza, że morderstwo jest gotów popełnić po raz drugi... I chodaś przeczy temu, nietrudno wywnioskować, że uczyni to wówczas, gdy jego interesy zostaną zagrożone. Aspołeczna postawa tego człowieka nie mogła objawić się wyraźniej. Oskarżenie nie widzi potrzeby zadawania mu dalszych pytań.

— Sąd dziękuje przedstawicielowi oskarżenia. Rzecznik obrony może przystąpić do badania oskarżonego.

— Panie Wharton. Spróbujmy możliwie krótko — kierując się przy tym nieco innym niż mój szanowny kolega punktem widzenia — podsumować fakty; chciałbym podkreślić:

fakty, ustalone ponad wszelką wątpliwość w toku dotychczasowego przewodu sądowego. Zabił pan towarzysza, aby zapobiec zniszczeniu komputera z zakodowanym unikalnym programem. Zabił go pan, pomimo że nie zagrażał pańskiemu życiu ani też życiu innego człowieka. Czy zgadza się pan z takim sformułowaniem okoliczności zabójstwa?

— Tak, nie mam żadnych zastrzeżeń.

— Idźmy więc dalej. Interpretacja owych bezsprzecznych faktów, przedstawiona przez oskarżenie, nie jest bowiem jedyną możliwą... Działania swoje uzasadnił pan tym, że utrata zapisu, będącego aktualnie jedyną szansą na pokonanie jeszcze za życia naszego pokolenia tak zwanej bariery światła, byłaby niepowetowaną stratą...

— Tak.

— Mój szanowny przeciwnik jednakże sugerował, że prawdziwym motywem popełnionego przez pana czynu była świadomość, że druga taka okazja już się panu nie trafi; mówiąc brutalnie — że pańskie... możliwości intelektualne czy też fachowe nie są wystarczające, by mógł się pan spodziewać, że — rezygnując ze sposobności stworzonej przez ów szczęśliwy przypadek — zdoła

pan zrobić naukową karierę. Chciałbym usłyszeć, jaki jest pana stosunek do tej... teorii rzecznika oskarżenia?

— Myślę, że to twierdzenie jest w pewnym stopniu słuszne. Odkrycie o tak przełomowym znaczeniu istotnie zdarza się rzadko... i

— Czy to oznacza, że gdyby nie ów przypadek, nie mógłby pan liczyć na łatwe osiągnięcia naukowe w swym życiu?

— Nie sędzę. Każde odkrycie w pracy naukowo-badawczej jest oczywiście w jakimś stopniu warunkowane przypadkiem, wiele osiągnięć było wynikiem zbiegu okoliczności, ale liczą się przede wszystkim pewne cechy umysłowości jednostki...

— Czy uważa pan siebie za jednostkę o takich właśnie predyspozycjach intelektualnych?

— Tak.

— Jest jeszcze jedna sprawa, w której chciałbym usłyszeć od pana wyjaśnienie. Zeznał pan — ku oburzeniu mego kolegi — że w sytuacji analogicznej z tą, jaka miała miejsce na Oberonie, postąpiłby pan znowu tak samo. Proszę mi teraz powiedzieć: czy tam, na Oberonie, nie przyszło panu do głowy, że — aby ocalić komputer — zamiast zabijać, mógłby pan starać się obezwładnić Ruiza Passadenę?

— Rozważałem i tę możliwość. Ale takie działanie byłoby bez porównania mniej skuteczne; nie mogłem mieć pewności, że to mi się uda... W sytuacji takiej jak tamta staram się zawsze realizować rozwiązania optymalne.

— Stara się pan realizować...! Panie Wharton — czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że dla większości ludzi problemem w takiej sytuacji stałaby się konieczność dokonania zabójstwa, a nie poszukiwanie optymalnych rozwiązań?

— Być może. Nie miałem tyle czasu, by zastanawiać się nad etyczną stroną całego zagadnienia. Musiałem działać szybko...

— Stwierdzając, że w identycznych okolicznościach działałby pan tak samo, przyznał pan jednocześnie, że nie wie, czy w taki sposób rozumowałby ktoś inny. Posunąłbym się dalej: twierdząc, że bardzo niewielu ludzi.

— Możliwe. Większość ludzi działa pod wpływem nieprzemyślanych impulsów, stąd dosyć często popełniają czyny, których potem żałują.

— Panu się to nie zdarza?

— Nie.

— I jest pan zawsze pewien, że wszystkie pana decyzje są to decyzje właściwe? Nie miewa pan wątpliwości? Wahań?

— Bardzo rzadko. Na ogół wiem dość dobrze, jak należy postąpić.

— Tak właśnie było na Oberonie?

— Tak-

— Pomimo przekonania o właściwości podjętej decyzji **mógł**

pan jednakże żałować Passadeny...

— Nie. Nie jestem sentymentalny.

— Reakcję odmienną od pańskiej uważałby pan zatem **za** sentymentalizm?

— Tak.

— Panie Wharton. Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że postępowanie, które pan z całym przekonaniem uważa za słuszne, dla innych może być nie do przyjęcia? Czy kiedykolwiek rozważał pan ten problem?

— Nie było takiej potrzeby.

— Nawet teraz? Ani na Oberonie?

— Moja decyzja — na Oberonie i teraz — wydaje mi się decyzją jedynie słuszną.

— Z pańskiego punktu widzenia?

— Tak. Z mojego — a więc jedyne, jaki dla siebie uważam za miarodajny.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, zasady wyznawane przez innych nie mają dla pana najmniejszego znaczenia?

— Nie.

— Dziękuję panu. Nie mam już więcej pytań.

— Świadkowie obrony: Robin Mc Rae — pilot-nawigator doświadczalnych statków kosmicznych, Seath Cherokee — inżynier, Devi Khan — sądowy psychiatra przysięgły, Orvell Kerr — zastępca dyrektora produkcji Generals Bionic Company, Lear Ordon — profesor zwyczajny Arystoteles University...

— Świadkowie: Robin Mc Rae, Seath Cherokee, Devi Khan i Orvell Kerr stawili się osobiście, wysoki sędzie. Świadek Lear Ordon z uwagi na zły stan zdrowia, uniemożliwiający mu znoszenie przyspieszeń startowych, nie mógł opuścić Księżycy. Obrona stawia wniosek o dopuszczenie dowodu z przesłuchania świadka Ordon za pośrednictwem kosmofonowizji.

— Wobec uzasadnionych przyczyn sąd uwzględnia **wniosek** rzecznika obrony. Świadek Robin Mc Rae!

— To ja, wysoki sędzie.

— Obowiązkiem świadka jest udzielanie bezwzględnie zgodnych z prawdą odpowiedzi na pytania stawiane przez sąd, obronę oraz przedstawiciela oskarżenia.

W zeznaniach swoich winien świadek opierać się jedynie na tym, co sam widział lub słyszał. Czy świadek zrozumiał pouczenie?

— Tak jest, wysoki sędzie.

— Proszę złożyć przysięgę, że świadek będzie zeznawał zgodnie z prawdą. Formułę przyrzeczenia proszę powtórzyć za mną: przysięgam mówić prawdę, całą prawdę i nic, tylko prawdę...

— Przysięgam mówić prawdę, całą prawdę i nic, tylko prawdę.

— Sąd przekazuje świadka do dyspozycji obrony. Proszę przystąpić do zadawania mu pytań.

— Jest pan pilotem-nawigatorem doświadczalnych statków

kosmicznych. Czy w czasie swojej służby zetknął się pan kiedykolwiek z oskarżonym Whartonem?

— Tak. Pracowałem z nim razem na statkach doświadczalnych.

— Praca tego typu — jak sądzę — łączy ludzi dość **mocno**, pozwalając im poznać się lepiej, niż to byłoby możliwe w innych warunkach.

— Na ogół — tak. Ale to nie jest reguła. Zdarzają się wyjątki... mam na myśli, że to zależy tak od tego drugiego człowieka.

— Chce pan powiedzieć, że nie udało się panu zbliżyć z Randem Whartonem?

— Tak.

— Wharton starał się utrzymać między wami dystans?

— Nie, nie w ten sposób. Sądzę, że on w ogóle dość trudno zżywa się z ludźmi. Jest bardzo skryty.

Zamknięty w sobie — to określenie byłoby chyba lepsze. Ma się uczucie, że inni nie są mu wcale potrzebni.

— Stroni od ludzi? Czy ludzie stronią od niego?

— Nie, ani jedno, ani drugie. To jest... brak jakichś wspólnych płaszczyzn. Myślę: płaszczyzn porozumienia. Sposób jego myślenia bywa chwilami niepojęty; zdumiewa, a jednocześnie...

— Działa odpychająco?

— Nie, nie aż tak. To znaczy, być może — w pewnym stopniu. Choć raczej fascynuje. Tylko że czasem jest to — jeżeli można usłyszeć takiego słowa — fascynacja w pewien sposób negatywna.

Obserwowałem to zresztą także u innych, Whartona można nie znosić i wielu ludzi właśnie go nie znosiło. Ale nie można go nie podziwiać...

— Z pana słów wnoszę, że Wharton nie ma zbyt wielu przyjaciół?

— Nie.

— Właśnie z powodu... tych odczuć, które budzi — nazywanych tu przez pana negatywną fascynacją?

— Nie tylko. Wspomniałem, że sposób jego myślenia bywa niezrozumiały; on jest po prostu niezbyt inteligentny. A to powoduje uczucia bardzo złe. Między innymi — kiedy się z nim przebywa, ma się wrażenie, że on się jak gdyby zniża. Do poziomu rozmówcy. że w prawie każdej rozmowie on

tak jak gdyby przekładał swoje myśli na język znacznie prostszy, zrozumiały dla innych. I Źe to męczy go trochę. Takie uczucie... nie naleŹy do najprzyjemniejszych...

— Z tego, co pan powiedział, wynikałoby, Źe intelekt Whartona przekracza przeciętną miarę.

— Bo jest tak właśnie.

— Czy zna pan wskaźnik inteligencji Whartona?

— Tak. Sto osiemdziesiąt.

— Czy jest pan tego pewien? To jest... inteligencja nadprzędtnie wybitna!

— Jestem zupełnie pewien. Wskaźniki ludzi, z którymi wspólnie wykonywało się kiedykolwiek zadanie, zna się na pamięć, tak samo jak swój własny.

— Czy mówiąc o tym... zniŹaniu się do poziomu rozmówcy, nie sugerował się pan w jakiś sposób wysokością tego wskaźnika?

— Nie. **On** jest naprawdę znacznie inteligentniejszy od prawie wszystkich ludzi, z którymi musi się stykać.

— I to jest właśnie przyczyną owego zamykania się w sobie?

— Tak mi się zdaje. Mało kto moŹe być dla niego intelektualnym partnerem, więc Wharton nie poszukuje kontaktu z innymi ludźmi, a to zniechęca do wszelkich prób zbliŹania się do niego. Ale związana z tym jest jeszcze jedna sprawa: kiedy się z nim przebywa, wie się przez cały czas, Źe on jest lepszy, Źe w kaŹdej chwili bije człowieka na głowę. To wywołuje pewne... poczucie niŹszości. A tego nikt nie lubi. I myślę takŹe, Źe wiele ludzi po prostu mu zazdrości...

— Zazdrości?!

— Tak. To jest zazdrość. Być moŹe nawet — zawiść. Wiadomo przecieŹ, Źe człowiek o tak ogromnych moŹliwościach intelektualnych musi zająć dalej niŹ inni, Nigdy mu się nie sprostą, nie jest dla niego właściwie Źadnym partnerem. I przeciwnikiem teŹ nie. Wszystko, co moŹna reprezentować sobą, wobec Whartona po prostu się nie liczy...

— Rozumiem. Ma się poczucie, Źe zdystansuje kaŹdego. Mówiąc inaczej, zakłada się, Źe Wharton

— dzięki tym swoim moŹliwościom intelektualnym — jest, niejako z góry, predestynowany do tego, aby osiągnąć znacznie więcej niŹ inni, zająć od nich znacznie dalej?

— Tak.

— Nie zdziwiło więc pana, kiedy się pan dowiedział, że dokonał on odkrycia będącego przełomem w dotychczasowej . nauce, udowadniając możliwość przekroczenia bariery światła?

— Nie. Samo przez się rozumiało się zawsze, że jego dokonania przekroczą zwykłą miarę.

— Słyszał pan o tym, że pomógł mu przypadek?

— Tak, ale to nie miało znaczenia. Prędzej czy później, przy pomocy przypadku lub też bez niego, musiałyby Wharton dokonać czegoś podobnie doniosłego.

— Odkrycie dokonane na Oberonie nie mogło być zatem dla niego jedyną szansą naukowej kariery?

— W śladnym wypadku. Jestem tego zupełnie pewien. Randa Whartona czekała wielka przyszłość.

W tym przekonaniu nie jestem odosobniony; wszyscy, którzy go znali, byli tego zawsze zupełnie pewni.

— Panie Mc Rae. Z pańskich zeznań wynika, że przypuszczenie, jakoby oskarżony dokonał na Oberonie zabójstwa mając na myśli jedynie własną korzyść — czyli szansę naukowej kariery, jaką dawało mu autorstwo tego przypadkowego-odkrycia, można stanowczo wykluczyć.

— Tak, najzupełniej. Powtarzam: niezależnie od tego, czy przypadkowe odkrycie na stacji Oberon Delta-2 zostałyby dokonane, czy nie, przyszła kariera naukowa Whartona nie podlegała dyskusji.

— Dziękuję panu. Wysoki sędzie, obrona nie ma więcej pytań do świadka.

— Świadek do dyspozycji rzecznika oskarżenia.

— Z zeznań świadka wynika, że jest on w jakiś sposób... oczarowany intelektem, możliwościami oskarżonego Whartona. że on mu imponuje. Czy tak?

— Nie ukrywałem tego ani przez chwilę.

— Ten podziw świadka nie zmniejszył się, jak widzę, pomimo zajścia na stacji Oberon Delta-2...

Świadkowi jest wiadomo, o co Rand Wharton został oskarżony?

— Tak. O zabicie Ruiza Passadeny, kiedy ten usiłował zniszczyć komputer-statku.

— Świadek zeznał, że pracował z Whartonem na stacjach doświadczalnych. Jakie to były statki?

— Ganimed-8 i Phobos Beta-3.

— O ile mi wiadomo, były to stacje o podobnych programach co Oberon?

— Tak.

— Załoga takich stacji jest zwykle dwuosobowa. **Petail** pan zatem obowiązkami pilota?

— Tak.

— A więc te same, które na Oberonie wykonywał **Ruiz** Esteban Passadena?

— Przypadek, zbieg okoliczności mógł sprawić, że pilotem-nawigatorem statku doświadczalnego Oberon Delta-2 mógł zostać pan, nie Ruiz Passadena. Czy świadek wie, co stałoby się wtedy?

— Być może — ten przypadek, ów zbieg okoliczności, sprawiłby, że nie sięgnąłbym po ultimatox. Czy zażyłbym go w jakiejś rozsądnej dawce? Albo że nawet gdybym go przedawkował, nie byłbym usiłował niszczyć komputera...

— A jeśli nie?

— Wysoki sędzie, czy muszę odpowiadać na to pytanie? Nie dotyczy ono niczego, co wiem lub widziałem, jak pouczono mnie na początku przesłuchania; dotyczy jedynie niesprawdzalnych hipotez...

— Mimo to świadek odpowie. Oskarżenie zechce powtórzyć to pytanie.

— Co stałoby się, gdyby drugim człowiekiem na Oberonie był pan, nie Passadena?

— Nie wiem. Nie umiem odpowiedzieć na to w sposób jednoznaczny, istnieje tu zbyt wiele możliwości, bym czuł się powołany do niesprawdzalnych twierdzeń na temat tego, co się nie stało, choć może stać się mogło.

— Wysoki sędzie, oskarżenie nie ma więcej pytań do świadka. Zdaniem oskarżenia — świadek, unikając wyraźnej odpowiedzi, dał poznać — w sposób jednoznaczny — jak by ona brzmieć mogła.

Sądzę, że wie on równie dobrze jak każdy, co stałoby się wówczas. Odpowiedź jest tylko jedna i nie budząca najmniejszych wątpliwości...

— Świadek Seath Cherokee!

— Jestem, wysoki sędzie.

— Proszę powtarzać za mną: przysięgam mówić prawdę, całą prawdę i nic, tylko prawdę...

— Przysięgam mówić prawdę, całą prawdę i nic, tylko prawdę.

— Świadek do dyspozycji rzecznika obrony.

— Panie Cherokee. O ile mi wiadomo, od ośmiu lat pracuje pan w tych samych co oskarżony zakładach:

Kosmonautic Corporation. Zna pan zatem oskarżonego Whartona?

— Tak. Znam Randa bardzo blisko.

— Od jak dawna datuje się ta znajomość?

— Nieomal od początku. To znaczy — osiem **lat**.

— Jest to wystarczający okres, by móc poznać drugiego człowieka w sposób pozwalający określić dosyć ściśle jego charakter, a więc rozumieć także motywy jego postępowania. Tym bardziej — jak sądzę — nie było to jedynie koleżeństwo wynikające z wspólnie wykonywanej pracy **ani** znajomość wyłącznie towarzyska?

— Nie. I choć nie mógłbym twierdzić, że znam szczególnie dobrze charakter Randa Whartona, sądzę, że poznałem **go** jednak lepiej niż ktokolwiek inny.

— Proszę więc, na podstawie swojej znajomości oskarżonego, powiedzieć, co, pana zdaniem, mogło stać się przyczyną zabójstwa popełnionego przez Whartona na stacji doświadczalnej Oberon Delta-2?

— Rand — być może szerzej niż ktokolwiek inny na jego miejscu — umiał ocenić, czym przypadkowe odkrycie, umożliwiający w przyszłości budowę na dużej skalę statków kosmicznych rozwijających szybkości nadświetlne, rakiet, które mogłyby docierać aż do innych galaktyk, musi stać się dla dalszych dziejów ludzkości, dla jej rozwoju, jaki zapoczątkuje ekspansja do najdalszych układów planetarnych. Więc kiedy uznał, że Pasadena może na długie lata — a być może na zawsze — udaremnić realizację dokonanego odkrycia, przekreślił ową niespodziewanie otwierającą

się moŝliwość...

— Stracił panowanie nad sobą?

— Nie. Rand nigdy nie trął panowania nad sobą. Jego działanie — tym razem tak jak zawsze — cechowała, jak sądzę, chłodna logika i jak najdalej posunięta celowość...

— Musi pan przyznać, Ŝe taka właŝnie „celowość” z normalnego, ludzkiego punktu widzenia staje się niepojęta.

— Tak, ale... Whartona nie da się chyba oceniać w zwykły . sposób. On jest... nieco inny od wszystkich.

— Od wszystkich?

— Tak. Nie spotkałem człowieka o podobnie niezrozumiałych reakcjach, psychice i sposobie myślenia.

— Co jednak nie przeszkodziło panu utrzymywać z **nim** długą i — jak sam pan określił — bardzo bliską znajomość.

— Nie. Ale właŝnie dlatego, Ŝe cały czas przyjmowałem go takim, jaki jest, nie czując się uprawnionym do osądzania go w jakikolwiek sposób.

— Rozumiem. Mimo to chciałbym nadal, aby tym razem postarał się pan właŝnie ocenić Randa Whartona, scharakteryzować wysokiemu sądowi osobowość tego człowieka. Sądzę, Ŝe jeśli pan przemyśli sobie niektóre wydarzenia, przeanalizuje to wszystko, czego dowiedział się o nim w ciągu ośmiu lat, nie będzie to takie trudne-

— Nie jestem tego pewien.

— Spróbuję pomóc panu. Którą z jego cech uwaŝa pan **za** nadrzędną, najbardziej charakterystyczną?

— Inteligencję. Rand jest inteligentny piekielnie — i to narzuca się przede wszystkim, określa go natychmiast.

— Zna pan, oczywiście, wskaźnik inteligencji Whartona?

— Tak. Sto osiemdziesiąt. Ale nie tylko niespotykanie wysoki współczynnik intelektu jest tu istotny.

Wydaje mi się, że znacznie ważniejszą sprawą jest to, w jaki sposób ta jego... wybitność kształtuje resztę osobowości.

— Czy zechciałby pan dokładniej to wyjaśnić?

— Dopóki nie poznałem Whartona, nie sądziłem, aby mógł istnieć człowiek zdolny podporządkować

w sposób tak doskonały wszystko w swoim umyśle nakazom intelektu. **Ja** wiem, że to, co mówię, jest w dalszym ciągu niejasne... Postaram się inaczej. To jest tak: każdy z nas miewa momenty wątpliwości czy wahań, diametralnie różnych nastrojów, załamania — czyja wiem czego jeszcze... Potrafi

przerzucać się z jednej ostateczności w drugą pod wpływem nagłych impulsów, przeczyć samemu

sobie na skutek przeciwstawnych myśli czy odczuć... Rand nie. Jest jak monolit; wściekle

opanowany, powodujący się jedynie rozumem, zbyt chłodny, zbyt logiczny. Czasami ma się

wrażenie, że wszystko w jego umyśle, wszystko, co robi, służy realizacji niepojętego celu czy może celów, tak dla niego istotnych, że inne sprawy nie mają najmniejszego znaczenia.

— Ma pan na myśli cel, który postawił sobie w związku z wykonywaną pracą?

— Nie. Choć kiedy w grę wchodzi jego praca, zadanie, które postanowił wykonać, ta cecha

przejawia się najsilniej. Tylko że to, co robi, tak jest... w pewien sposób podporządkowane temu jakiemuś celowi. Jak zresztą każde działanie, które on uzna za słuszne... Właśnie dlatego... nie wyobrażam sobie, aby istniała jakakolwiek przeszkoda mogąca odwieść go od raz powziętego

zamiaru.

— A jeśli taka przeszkoda istotnie się pojawi, Rand Wharton zrobi wszystko, by ją usunąć,

wykazując przy tym niespotykaną bezwzględność?

— Tak, chociaż... ja zawahałbym się przed umyśleniem takiego słowa. Ta... bezkompromisowość

cechująca niejednokrotnie postępowanie Whartona nie wynika bowiem z braku

względów dla innych ludzi w ogóle... Jest w jakiś sposób wynikiem jego zimnego, chciałoby się

powiedzieć:

matematycznego, myślenia w ściśle określonych sytuacjach...

— I taka sytuacja — determinująca rozumowanie, a więc i działanie Whartona, zdarzyła się właśnie na statku doświadczalnym Oberon Delta-2?

— Tak. Właśnie dlatego Rand zareagował tak... jak zareagował. Jego reakcja została zdeterminowana. To słowo określa najdokładniej działanie bodźca, który tam warunkował jego postępowanie...

— Panie Cherokee. Z pana zeznań wynika, że Rand Wharton we wszystkich swoich działaniach kieruje się wyłącznie realizacją wyznaczonego celu i dość swoistą, podporządkowaną temu celowi logiką... Przyznaję, że decyzja: życie jednostki dla dobra całej ludzkości, jest bez wątpienia logiczna.

Lecz jednocześnie — pozbawiona wszelkich cech humanitaryzmu... Proszę się zastanowić, bo chciałbym, aby pan na to pytanie mógł odpowiedzieć z pełnym przekonaniem: czy w sytuacji Whartona, uznając nawet rozwój ludzkości za cel nadrzędny, niejako rozgrzeszający, umiałby pan posłużyć się wyłącznie logiką? Czy postąpiłby pan tak samo?

— Nie, ja bym nie mógł... Ale tu właśnie jest największa różnica pomiędzy nim a mną czy też innymi ludźmi;

Wharton po prostu nie potrafi rozumować i działać niezgodnie z zasadami logiki. Ten sposób myślenia jest dla niego czymś tak naturalnym, jest taką nieodłączną cechą jego intelektu, że jej nawet nie zauważa; w każdym razie — jako czynnika negatywnego... Przy całej wybitności jest to jak gdyby ułomność jego mózgu, kalectwo, za które nie może odpowiadać — bo go nie dostrzega i nie potrafi inaczej...

— Wysoki sędzi, oskarżenie sprzeciwia się takiemu naświetlaniu sprawy przez świadka, który w swoich zeznaniach posuwa się zbyt daleko, starając się sugerować ograniczoną odpowiedzialność oskarżonego... do czego nie jest bynajmniej powołany. Jest bowiem inżynierem, a nie biegłym psychiatrą.

— Uwzględniam protest. Zeznanie świadka, poczynając od słów: „przy całej wybitności...” zostaje wykreślone. Proszę kontynuować przesłuchanie.

— Zakończył pan zatem zdaniem, że Wharton nie zauważa, iż w pewnych okolicznościach jego rozumowanie prowadzi może do działań uznawanych przez innych za negatywne...

— Tak. Może dlatego kieruje się wyłącznie tym, co uważa

za słuszne: nakazami własnego intelektu. I tu jest problem, którego rozwiązać nie potrafię, nigdy nie potrafiłem; mój wskaźnik intelektu wynosi sto dwadzieścia, nie umiem, nie jestem w stanie wyobrazić więc sobie, jak moŜe rozumować człowiek o inteligencji Whartona... Być moŜe to, co ja i wiele

innych ludzi uznajemy za jakieś... normy postępowania — mam na myśli, oczywiście, normy etyczne — stanowi dla intelektu tej miary coś całkiem nieistotnego. Őe on dostrzega przesłanki, pozwalające owe normy bez wahania odrzucić, Őe to, co ja nazywam humanitaryzmem czy moralnością, po przekroczeniu pewnej bariery... genialność, po prostu przestaje istnieć... Nie wiem i sędę, Őe nigdy nie będę tego wiedział, dlatego nie czuję się powołany do oceniania motywów Randa Whartona.

Mogę powiedzieć tylko, Őe — z mego punktu widzenia — jego działania są całkowicie wyzbyte wszelkiej nielogiczności wypływającej z oddziaływania uczuć, moŜe nawet: zdolności odczuwania uczuć w ogóle. Gdyby nie to, Őe Wharton był zdolny do niektórych... na przykład do przyjaźni — zastanawiałbym się nieraz...

— Tak, proszę?

— Czy on nie jest... czy on nie został ich jakoś... pozbawiony?

— Właśnie dlatego, aby mógł podejmować owe **bezbłędnie** logiczne decyzje, nie zmaczone śladem uczuciowości, **wiodące** prosto do realizacji postawionego przed sobą celu?

— N... nie wiem. Nie myślałem tego w ten sposób. To zresztą byłaby bzdura: kto, w jaki sposób,

mógłby go ich pozbawić? Powiedziałem tak tylko, bo mi się skojarzyło, Őe w wielu swoich działaniach Rand zachowuje się nieomal jak ma... jak gdyby rzeczywiście mógł tylko myśleć, a nie umiał odczuwać...

— Chciał pan powiedzieć: jak maszyna.

— UwaŜa pan to jego niesłuchanie logiczne postępowanie **za** cechę niezbyt... ludzką. Za coś, co nie znajduje uzasadnienia, a w kaŜdym razie — pełnego uzasadnienia... Czy tak?

— Nie wiem... Nie próbowałem tego tak definiować...

— Pomimo to jest pan przekonany, Őe w osobowości Whartona jest coś wymykającego się wszelkim próbom normalnych, ludzkich ocen? Jest coś... obcego?

— Tak... chyba.

— Rand Wharton działa czasem... jak mózg elektroniczny, dla którego jedyną sprawą liczącą się na świecie będzie zadanie, dla którego wykonania został zaprogramowany?

— MoŜna... to tak określić. Tylko Őe Rand jest przecieŜ człowiekiem. Wybitnie inteligentnym, znacznie zdolniejszym od innych — a przy tym mniej uczuciowym, powodującym się w kaŜdej sytuacji jedynie chłodną logiką — ale przecieŜ człowiekiem...

— Mimo to uznał pan za właściwe moje sformułowanie, gdy porównałem działanie oskarŜonego do działania zaprogramowanej maszyny. Nie był to chyba przypadek?

— Nie. Zdawałem sobie sprawę z wagi kaŜdego słowa przez cały czas składania swoich zeznań.

Jest dla mnie rzeczą zupełnie oczywistą, Őe pewne cechy jego umysłowość czy charakteru

powodują, iŜ to, co robi, wydaje się czasami... nie nazbyt ludzkie. I Őe te właśnie niezrozumiałe cechy popchnęły Randa Whartona do popełnienia zabójstwa w imię motywów będących nie do przyjęcia dla innych ludzi, chociaŜ dla niego zupełnie oczywistych...

— Dziękuję panu. Őwiadek do dyspozycji rzecznika oskarŜenia.

— Őwiadek Cherokee oświadczył tu przed chwilą, Őe zdawał sobie sprawę z wagi kaŜdego słowa.

JeŜeli dobrze rozumiem sens owej wypowiedzi, oznacza to, Őe był on w pełni świadom, jaka jest linia obrony — i Őe jego zeznania są dla oskarŜonego korzystne. Czy Őwiadek moŜe zaprzeczyć takiej

interpretacji?

— Nie. Wiedziałem dobrze, jakie znaczenie mają moje zeznania.

— Mimo tej świadomości zeznawał Őwiadek zgodnie ze złoŜoną przysięgą?

— Tak. Wszystko, co powiedziałem, jest zgodne z prawdą.

— I tak się składa, Őe właśnie owa prawda jest dla oskarŜonego korzystna?

— Tak.

— Jest jeszcze jedna rzecz, którą chciałabym wyjaśnić. **O ile** mi wiadomo, Őwiadek naleŜał do najbliższych przyjaciół oskarŜonego?

— Nie.

— Przypominam świadkowi, **Śe** w dalszym ciągu zeznaje pod przysięgą.

— Pamiętam o tym. Nie „**naleŚalem**”. Jestem przyjacielem Randa Whartona.

— Zabójstwo Passadeny i postawienie Whartona w stan oskarŜenia nie miało zatem — jeśli dobrze rozumiem — wpływu na pańską przyjaźń?

— W przeciwnym razie nie naleŚałoby nazywać jej przyjaźnią.

— Bardzo szlachetny pogląd. Nie wątpię, **Śe** — wyznając takie poglądy — zalicza pan lojalność do najistotniejszych cech tak pojmowanej przyjaźni?

— Tak.

— Rozumiem i sędzę, **Śe** wszyscy na tej sali tak samo rozumieją. Wysoki sędzie, oskarŜenie nie ma więcej pytań **do** świadka.

— Świadek Devi Khan — Sadowy psychiatra przysięgły!

— Do dyspozycji wysokiego sądu.

— Panie Khan. Przeprowadził pan szereg badań oskarŜonego, mógłby pan więc zapewne przedstawić bardzo wnikliwą analizę jego psychiki i umysłowość. Pozwoli pań jednak**Śe**, **Śe** ograniczę się tylko do kilku najważniejszych z punktu widzenia obrony pytań, nie korzystając z całej rozległej i śdsle specjalistycznej pańskiej wiedzy fachowej...

— Oczywiście. To zrozumiałe, **Śe** nie wszystko mieć moŚe znaczenie dla tej sprawy. Proszę pytać.

— Z zeznań oskarŜonego i świadków, związanych z nim długotrwałą przyjaźnią czy współpracą, wynika, **Śe** jest to człowiek, którego sposób rozumowania, jak i cała psychika różnią się znacznie od tego, co przywykliśmy uważać za przeciętne czy teŚ nawet — normalne, a jego zachowania - — od zachowań, jakich w analogicznej sytuacji moglibyśmy po takim normalnym czy przeciętnym człowieku oczekiwać. Czy pańskie obserwacje potwierdzają to tak**Śe**? — Tak. Chciałbym jednak**Śe** zastrzec na samym wstępie, **Śe** nie mam tu na myśli „nienormalności” rozumianej jako zaburzenia osobowości. Istnienie zmian chorobowych, cech psychopatologicznych moŚna bowiem z całą

stanowczością wykluczyć. Rand Wharton różni się znacznie od innych... zaryzykuję stwierdzenie: od wszystkich innych ludzi, lecz te różnice nie mają nic wspólnego z dezintegracją jego funkcji

psychicznych. Przeciwnie, można by uznać, że spójność jego psychiki jest znacznie większa, niż to ma miejsce zazwyczaj. Pan albo ja będziemy pod wpływem różnych i przeciwstawnych bodźców

popełniać czyny zupełnie z sobą sprzeczne, doznawać wątpliwości, utrudniających nie tylko

przyjęcie jakiejś jednej, niezachwianej postawy lub

osiągnięcie określonego celu — ale i wybór środków, jakimi cel ten będziemy usiłowali osiągać; tak zresztą będzie z każdym. Z wyjątkiem właśnie Whartona, którego motywacje utworzą zawsze

system doskonale spójny i całkowicie niesprzeczny. Co w konsekwencji prowadzi do konkluzji, że on jest od nas, od całej reszty ludzi, prawie we wszystkich sytuacjach — lepszy...

— Czy to oznacza, że Rand Wharton jest niemal... nadczłowiekiem?

— Jeśli człowieczeństwo będziemy mierzyć wyłącznie sumą osiągnięć — tak. Jeśli iloraz

inteligencji jednostki przyjmiemy za kryterium tego „nadczłowieczeństwa”. I jeszcze — jeśli założymy, że kierowanie się we wszystkich przypadkach jedynie rozumem i związany z tym brak

wahań i brak skrupułów jest rzeczą z nim nierozdzielnie związaną...

— Stawia pan znak równania pomiędzy intelektem a bezwzględnością Whartona?

— Tak. I to z dwóch przyczyn. Po pierwsze — brak wątpliwości, jak i pozorna atrofia uczuć

wyższych wynika z faktu, że cechuje go wyraźna dysproporcja pomiędzy intelektem a sferą

uczuciową, powodująca, że górą będzie zawsze intelekt... Toteż jego bezwzględność jest

następstwem jego umysłowości i integralną częścią sposobu jego myślenia...

— A więc tego wszystkiego, co jest nam dane już w chwili urodzenia, za co nikt z nas nie może

ponosić odpowiedzialności ?

— Tak, oczywiście. Tyle że człowiek — każdy rozumny człowiek — poddaje swoje cechy wrodzone

pewnej korekcie, starając się dostosować lub choćby dostosować pozornie do norm uznanych za

prawidłowe, a więc i pośądane przez innych otaczających go ludzi. I tu jest to „po drugie”. Bo drugą sprawą, związaną z niepospolitą inteligencją Whartona, jest osiągnięta przez niego jeszcze we

wczesnym dzieciństwie i utwierdzana przez całe życie świadomość — wypływająca z konfrontacji

własnych cech umysłowych z inteligencją ludzi, z jakimi stykał się w Syciu — Śe jego sposób

myślenia o tyle jest doskonalszy z punktu widzenia kryteriów ścisłej logiki, Śe juŚ to samo uprawnia go niejako do narzucania własnego rozumowania innym... A w kaŚdym razie — jest przekonany, Śe

wyjatkowość własnego intelektu uprawnia go do nieuznawania racji przeciętnych ludzi, o ile racje te nie znajdują z jego punktu widzenia pełnego potwierdzenia w zasadach logiki...

— Czy to oznacza, Śe umysłowość oraz cechy psychiczne

oskarŜonego Whartona — mam tu na myśli właśnie ową bezwzględność w realizowaniu powziętych

postanowień, niesłuchanie logiczny, w swoich przejawach aŚ ahumanitarny sposób myślenia i

negowanie ogólnie przyjętych wartości moralnych czy etycznych — mogły mieć wpływ zasadniczy

na dokonane na stacji doświadczalnej zabójstwo?

— Tak, niewątpliwie. I całkowicie prawdziwe jest tu stwierdzenie, Śe tam, na Oberonie, Wharton jak zawsze działał zgodnie z wyznawanymi przez siebie zasadami, a więc zgodnie z logiką. Wszelkie

skrupuły — jako rzecz alogiczną — Rand Wharton bowiem zawsze będzie uwaŜał za śmieszne...

— AleŚ to znaczy, Śe Wharton moŚe — dzięki tym swoim cechom — być zagroŜeniem dla

wszystkich ludzi, z którymi musi się stykać...

— Wharton jest zagroŜeniem. Potencjalnym zagroŜeniem kaŚdego, bo kaŚdy w jakiejś chwili moŚe

stać się przeszkodą, uniemoŜliwiającą oskarŜonemu realizację celu... Znając psychiczne i umysłowe cechy oskarŜonego Whartona zakończenie wypadków na Oberonie moŜna było przewidzieć — takie

zakończenie było bowiem jedyne z wszystkich moŜliwych.

— Dziękuję... Nie mam juŚ więcej pytań.

— JeŚli moŜna — chciałbym jeszcze coś dodać...

— Sąd zezwala świadczeniowi na swobodną wypowiedź.

— Dziękuję. Wysoki sądzie — chciałbym zwrócić **uwagę na fakt** stanowiący przesłankę

zmniejszającą w pewnym stopniu winę oskarŜonego Whartona...

— Jak to naleŜy rozumieć?

— Wyjaśnię. Rand Wharton, właśnie na skutek posiadania owych — rozpatrywanych tak długo —

„nadludzkich" cech był zawsze, z kaŝdego ŝrodowiska, w którym się był znajdował, wyłączony... Był obcy —jedni mu zazdrościli, inni nie potrafili się z nim porozumieć. Tej sytuacji nie mógł zmienić fakt, ŝe w dwóch czy trzech przypadkach udało mu się nawiązać coŝ w rodzaju przyjaźni, opartej na zafascynowaniu partnera jego niezwykliwoŝcią. Był sam...

— Sądzi pan, ŝe to mogło mieć jakiś wpływ na podjętą przez niego na Oberonie decyzję?

— Między innymi. I rozpatrując tę sprawę warto pamiętać, ŝe Ruiz Esteban Passadena nie stał się nigdy dla niego towarzyszem. Tragiczne zakończenie współpracy pomiędzy nimi nie mogło być zabójstwem kogoŝ, z kim połączyły Whartona jakieŝ więzy — zrozumienia, przyjaźni... Passadena był tylko jeszcze jednym człowiekiem z tłumu, z którego oskarŝony został na zawsze — właŝnie przez swój intelekt — wyobcowany. To, oczywiŝcie, nie zmienia rangi czynu. Ale pozwala go trochę lepiej zrozumieć... Dlatego proszę, wysoki ŝądzie, by to, co powiedziałem, zostało równieŝ zaprotokołowane.

— Oskarŝenie chciałoby wyjaŝnić jedną, istotną sprawę. W czasie całego przewodu sádownego poruszano wielokrotnie wpływ umyslowoŝd Whartona i jego cech psychicznych, takich jak: wybitna inteligencja, bezwzględnóŝ w dąŝeniu do wyznaczonych celów i nieemocjonalny, stricte logiczny sposób jego myŝlenia — a w ostatnim wystápieniu psychiatry Devi Khana nawet osamotnienie oskarŝonego — na podjęcie przez niego decyzji zabójstwa Passadeny. Pytanie do biegłego: czy wobec tego naleŝy ŝadzić, ŝe czyn swój Wharton popełnił pod wpływem czynników powodujácych zmniejszenie rozeznania co do istoty własných postępków bádŝ teŝ wykluczajácych prawidlową ocenę oraz pełną ŝwiadomoŝ podejmowanych działań?

— Nie.

— Była to zatem decyzja całkowicie ŝwiadoma?

— Tak. chociaŝ podejmowana przez człowieka, którego sposób myŝlenia róŝni się aŝ tak znacznie od wszystkiego, z czym stykamy się mając do czynienia z tak zwanymi przeciętnymi ludźmi, ŝe dla wiêkszoŝci z nas jest co najmniej obcy, jeŝli nie szokujácy — budzácy sprzeciw czy grozę.

— Czy biegły sádowny jest zdania, ŝe stanowi to tym samym przesłankę wykluczajáca

odpowiedzialność karną oskarżonego?

— W rozumieniu istniejących przepisów prawnych — nie. Człowiek jest bowiem odpowiedzialny za dobre i złe cechy dane mu przez naturę, jeżeli tylko nie wyłączają jego poczytalności.

— Dziękuję. To tylko chciałem wiedzieć.

— Świadek Orvell Kerr — zastępca dyrektora do spraw produkcji Generals Bionic Company!

— Przysięgam mówić prawdę...

— ...całą prawdę i nic, tylko prawdę.

— Panie Kerr, proszę dokładnie przyjrzeć się człowiekowi siedzącemu na ławie oskarżonych i zastanowić chwilę, tak aby miał pan zupełną pewność, zanim odpowie pan na pytanie: czy widział go pan kiedykolwiek.

— Tak, oczywiście. To jest preparat 28/IV/Q-18a z 2039 roku...

— Preparat 28...

— Przepraszam. Przyzwyczajenie: W Generals Bionic wolimy posługiwać się numerami produkcyjnymi wytworów pańskich zakładów. To znacznie wygodniejsze, wyklucza przy tym możliwość omyłek... Preparat 28/IV/Q-18a/2039, czyli Rand Wharton, nazwany tak od chwili podjęcia przez jego organizm normalnych życiowych funkcji i uwidocznił pod tym imieniem i nazwiskiem w ewidencji ludności.

— W ewidencji ludności? Ten — jak pan go nazwał — preparat 28/IV/Q-18a/2039 jest zatem człowiekiem?

— Naturalnie. Jest człowiekiem w tym samym stopniu co pan albo ja. Tyle tylko, że sposób jego powstania i narodził) różni się od naturalnego, któremu zawdzięczamy powstanie my obaj i jeszcze parę milionów ludzi.

— Czy jest pan pewien, że nie zachodzi tu błąd co do osoby? Oskarżony Rand Wharton w czasie przesłuchiwania podał dokładną datę i miejsce swoich urodzin... Czy mógłby pan wyjaśnić rozbieżność pomiędzy tym zeznaniem a swoim oświadczeniem złożonym tu przed chwilą?

— Tak, oczywiście. Osobnik zwany Randem Whartonem — jak zresztą wszystkie jednostki ludzkie produkowane przez Generals Bionic Company, jest przeświadczony, że jest zwyczajnym człowiekiem, nie zdając sobie sprawy z procesów kreacyjnych, w wyniku których został powołany do Śycia. W najlepszej wierze podaje więc jako datę swoich narodzin datę odłączenia od aparatury, dzień, w którym jego organizm po raz pierwszy rozpoczął zupełnie samodzielnie wszystkie Śyciowe funkcje, wpisany w odpowiednią rubrykę jego metryki.

— Rozumiem. Czy świadek mógłby jednak nieco szerzej wyjaśnić, na czym, dokładnie, polega niecodziennosc sposobu powstania oskarżonego?

— Został on wyprodukowany in vitro — czyli poczęty i ukształtowany w warunkach laboratoryjnych, poza organizmem ludzkim.

— Na wytwarzaniu istot ludzkich w ten sposób polega zatem działalność Generals Bionic Company?

— Tak.

— Czy mógłby pan wyjaśnić, w jakim celu realizuje się tego typu... produkcję?

— To bardzo proste. Wytwarzanie organizmów ludzkich w warunkach laboratoryjnych pozwala na znacznie lepszą

kontrolę procesów zachodzących w czasie ich powstawania. Umożliwia też takie oddziaływanie na

kod genetyczny formującego się preparatu, które pozwala eliminować cechy niepożądane i dążyć do zwiększenia proporcji genów będących nośnikami cech oczekiwanych. Naczelnym zadaniem

Generals Bionic Company jest bowiem produkowanie wszechstronnie doskonałych jednostek

ludzkich, w czym wyręczamy naturę z jej chaotycznym i dosyć przypadkowym procesem

kreacyjnym...

— To jeszcze nie wyjaśnia, w jakim celu są one produkowane.

— To przecież oczywiste. Istota ludzka, taka, która powstała w procesie naturalnej ewolucji, jest zbyt niedoskonała, za słaba i zbyt mało inteligentna, by mogła sprostać coraz to nowym zadaniom

stawianym przed ludzkością przez rozwijającą się lawinowo jej własną cywilizację. Cechy —

fizyczne i psychiczne — w jakie człowieka wyposażała natura, stały się niewystarczające, by mógł

on nadal panować nad stworzonym przez siebie światem nauki i techniki wraz z jego

złożonością. Dlatego konieczne jest stwarzanie szczególnie uzdolnionych, wybitnych jednostek ludzkich do wypełniania zadań wymagających zarówno nieprzeciętnego intelektu, jak i specyficznych właściwości psychicznych.

— Podkreślił pan dwukrotnie doskonałość produktów Generals Bionic Company... Jak sądzę, znajdują one **łatwo** nabywców'.'

— Tak. Chwilowo — z uwagi na niewielką jeszcze moce produkcyjną naszych zakładów i długotrwałą

okres oczekiwania na osiągnięcie fazy przydatności produktów — co zwykle osiągają one w trzydziestym, trzydziestym drugim roku swojego życia — wytwarzamy jedynie na zlecenie...

niektórych instytucji; niestety, nie jestem upoważniony, by zdradzać nazwy naszych zlecniodawców. Ale zamówień mamy o wiele więcej. Z czasem będziemy mogli zaspokoić je

wszystkie. Planujemy rozwinąć swoją działalność tak, aby w przyszłości produkty Generals Bionic dostępne były właściwie dla każdego. Wiąże się to z koniecznością stworzenia określonych

zasobów osobników wyposażonych w dość różnorodne cechy, tak aby można było wybierać

między istniejącymi już na rynku, wchodzącymi w wiek sprawny produktami, a nie — jak

dotychczas — zamawiać określoną jednostkę przed jej wyprodukowaniem.

— Rozumiem z tego, że w swej dotychczasowej działalności Generals Bionic ograniczał się do produkcji

jednostek wyposażonych w określone, z góry przewidywane cechy umysłowe?

— Tak.

— Taką jednostką był także oskarżony?

— Tak. W jego przypadku chodziło o stworzenie nieprzeciętnego intelektu o wybitnych zdolnościach technicznych. I to się nam udało.

— Niewątpliwie. Taki intelekt może jednak zostać przez swego właściciela... powiedzmy:

zmarowany. Wykorzystany nie w pełni albo też nie wykorzystany w ogóle; gdyby, na przykład,

obdarzony nim człowiek okazał się leniwy. Myślę, że takie uzależnienie przydatności...

skonstruowanej w ściśle określonym celu jednostki ludzkiej, od czynników niemożliwych do przewidzenia byłoby więc co najmniej niedopatrzaniem, krótkowzrocznością — słabym punktem założeń produkcyjnych...

— Ale tak! Oczywiście! Dlatego też Generals Bionic Company nie pozostawia tej sprawy przypadkowi. Produkcja istot takich jak Wharton jest zbyt kosztowna, aby z tych przyczyn mogła okazać się chybiona — choćby to miało miejsce tylko w niektórych przypadkach. Na szczęście, dzięki zastosowaniu najnowszych osiągnięć biomedycyny, możemy uniknąć tego niebezpieczeństwa. **Jak** już wspominałem, proces formowania się każdego z preparatów jest ściśle kontrolowany, co umożliwia natychmiastowe wykrycie ewentualnych nieprawidłowości...

— A więc — teoretycznie — istnieje jednak możliwość popełnienia omyłek, a co za tym idzie, tworzenia istot... **nie** w pełni odpowiadających przyjętym założeniom?

— Nie. W dość wczesnym stadium produkcji możemy stwierdzić te anomalie.

— We wczesnej fazie produkcji, jak pan to nazwał, muszą się zatem zdarzać przypadki... koniecznego odsiewu, czyli zabójstwa embrionów, u których stwierdzono te anomalie?

— Nie nazywamy tego w ten sposób. Preparaty te — we wczesnej fazie swego istnienia — nie są przecież obdarzone świadomością.

— Panie Kerr, nie chodzi w tym wypadku o nomenklaturę. Chciałbym od pana usłyszeć zapewnienie bądź zaprzeczenie w kwestii, czy reprezentowane przez pana zakłady robią istotnie wszystko, aby zapewnić doskonałość swoich produktów — i czy ponoszą pełną odpowiedzialność za **to, że** nie różnią się one — na niekorzyść — od przeciętnych ludzi.

— Mogę o tym zapewnić. Wystarczy zresztą popatrzeć **na** egzemplarz, który mamy przed sobą. Rand Wharton reprezentuje typowy wytwór Generals Bionic: inteligencja o rzadko spotykanym wskaźniku, przekraczająca normalną, ludzką miarę... Niezwykle silny i zdrowy — jego organizm funkcjonuje bez najmniejszych zakłóceń... Jest też — choć to już sprawa zupełnie drugorzędna, podyktowana wyłącznie względami estetyki — bardzo pięknym mężczyzną. Kształtowanie się cech psychicznych naszych produktów jest również kontrolowane. I

przyjmujemy pełną odpowiedzialność za odpowiedni dobór tych cech. Właściwe wykorzystanie przez każdego z naszych tworców zaprogramowanych mu genetycznie uzdolnień zostało obwarowane...

— Tak, proszę? Obwarowane? W jaki sposób?

— W procesie produkcyjnym... uwzględnia się takie ukształtowanie cech danego osobnika, by były one przydatne... z punktu widzenia celów, dla których osiągnięcia został on powołany do życia...

— Było tak również w przypadku Randa Whartona?

— Tak... tak.

— Jakie to były cechy?

— Wysoki sędzio, obrona składa wniosek o włączenie do materiału dowodowego matrycy produkcyjnej oskarżonego Whartona.

— Nie ma potrzeby. Pamiętam wszystkie dane... Postaraliśmy się o takie skonstruowanie psychiki Randa Whartona, aby zawsze i przede wszystkim dążył on do realizacji zadań stawianych przed nim przez wyjątkowość własnego intelektu...

— Zawsze? Za wszelką cenę?

— Obawiam się... Tak. Zaprogramowano mu... pewną bezkompromisowość w realizacji dążeń uznanych za nadrzędne, zdecydowane działanie w przewycięszeniu wszystkich możliwych przeszkód...

— Warto pamiętać, że jedną z owych przeszkód był Ruiz Passadena... Czy owa bezkompromisowość działa i wówczas, jeżeli ceną realizacji tych zadań miałoby stać się życie innego człowieka?

— Nie... nie wiem. Takiej ewentualności nikt nie brał pod uwagę... Nie przewidywaliśmy... Tak przeszkodą na drodze Randa Whartona może być inny człowiek.

— Czy może pan — zeznając pod przysięgą — kategorycznie wykluczyć możliwość, że zaprogramowane przez was cechy psychiczne i intelektualne Whartona spowodowały podjęcie

przez niego na stacji doświadczalnej Oberon Delta-2 decyzji o zabójstwie Ruiza Passadeny — a co za tym idzie, *Şe Generals Bionic Company* stała się pośrednio przyczyną popełnionego morderstwa?

— N... nie.

— Dziękuję, to wystarczy. Obrona zakończyła badanie świadka.

— " OskarŞenie natomiast chciałoby, za pozwoleniem wysokiego sądu, wyjaśnić pewne kwestie.

— Proszę pytać.

— Orvell Kerr, jako osoba odpowiedzialna za produkcję zakładów, w których powstał twór zwany

Randem Whartonem, zechce wyjaśnić, kim jest Rand Wharton:

robotem czy człowiekiem?

— Człowiekiem, oczywiście. Jak juŞ mówiłem...

— ...tylko sposób powstania róŞni oskarŞonego od wszystkich innych ludzi. Jego działania nie są więc, jak mogę sądzić, uzaleŞnione od jakiegoś programu, stymulowane przez jakiegokolwiek

sprzęŞenia, obwarowane przymusem?

— Gdyby tak było, byłby androidem białkowym, a nie istotą ludzką.

— W Şadnej więc sytuacji nie traci on swobody wyboru i zdolności myślenia. Nie istnieje Şaden

imperatyw kategoriyczny, od niego niezależny, wykluczający indywidualną ocenę sytuacji i zgodne z tym działanie, a powodujący, Şe dla Whartona nie istnieje Şadna alternatywa, Şe musi robić to, co najszybciej i w sposób najpewniejszy prowadzi do osiągnięcia celu?

— Nie, nic takiego nie dzieje się w jego mózgu — jest przecieŞ człowiekiem w takim samym stopniu co kaŞdy. Pewne cechy psychiczne zostały dane mu przez *Generals Błonic* przed narodzeniem, tak

jak innym — dane przez naturę. Ale jego procesy myślowe nie ulegają jakiemuś zahamowaniu,

rozwaŞa w pełni świadomie...

— Innymi słowy: posiada tak zwaną wolną wolę, którą się posługuje w czasie dokonywania wyboru

działań mających doprowadzić go do osiągnięcia wytyczonego celu?

— Tak.

— Wysoki sądzie — jak wynika z tych zeznań, próby obciążania kogokolwiek innego

odpowiedzialnością za popełnione przez oskarŞonego czyny są bezprzedmiotowe. Rand Wharton

popęłnił na Oberonie morderstwo z własnego

wyboru i Saden czynnik zewnętrzny, od niego niezależny, nie przesądził takiej właśnie decyzji.

— Profesor Lear Ordon na połączeniu kosmofonowizji.

— Panie profesorze. Był pan w roku 2069, jeżeli się nie mylę, przewodniczącym powołanej przez Ziemską Federację Narodów komisji specjalnej do spraw zagadnień związanych z programowaniem szczególnie uzdolnionych jednostek ludzkich, która w wyniku przeprowadzonych badań opublikowała tak zwany Raport Ateński. Chciałbym więc prosić pana — jako jednego z wybitnych znawców przedmiotu — o wypowiedzenie się, jakie są pana poglądy na działalność zakładów typu Generals Bionic Company?

— Tak zwany Raport Ateński, na który się pan powołał, nie odniósł Sadnych skutków, nikt nie chciał brać poważnie zawartych w nim ostrzeżeń; tym bardziej więc nie sądzę, by moje zdanie w tej kwestii mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie. Zdumiewa mnie, że zostałem powołany na rzeczoznawcę czy

świadka... Nie widzę nic nowego, co mógłbym wnieść do tej sprawy.

— Uważam, że jest inaczej. Pańskie zdanie może mieć wielką wagę dla oceny czynu oskarżonego, a tym samym zaważyć na całej przyszłości — może nie tylko tego jednego człowieka.

— Dobrze. A zatem — jestem zdecydowanie przeciwko wszystkim tego typu eksperymentom. Istota ludzka jest ciągle jeszcze strukturą tak mało znaną, że wszelkie manipulacje w tym zakresie — zarówno na skalę jednostkową, jak i całego gatunku — są wyzwaniem sił, których przewidzieć ani opanować się nie da...

— Na skalę całego gatunku?

— Tak. Sprawa konstruowania poszczególnych jednostek jest bowiem tylko częścią znacznie szerszego planu — tak zwanego „Programu zero”.

— Czy mógłby pan w skrócie nakreślić założenia tego programu — nie sądzę bowiem, aby wszyscy obecni znali je w wystarczającym stopniu?

— To jeszcze jeden dowód na to, że wszelkie poruszenie tych kwestii z góry skazane jest na

niepowodzenie — ślepotą i bezmyślnością ludzką w wielu przypadkach bywa bowiem nie do
przewyciężenia... Ale spróbuję. Sprawa przedstawia się następująco: w ostatnim
pięćdziesięcioleciu rozwinęło się wiele technik doświadczalnych, klinicznych, a także
produkcyjnych, zmierzających do — jak twierdzą **icfa**
entuzjaści — zapobieżenia degradacji rasy ludzkiej. ZagroŜa ona rzekomo gatunkowi zwanemu
homo sapiens na skutek zmniejszającej się wraz z rozwojem cywilizacji, a co za tym idzie — także i
medycyny — roli doboru naturalnego. Drugą przesłanką ma być konieczność wyprodukowania
„nadludzi” zdolnych udźwignąć ogrom rozwijającej się techniki.

— Jest to argument, którym między innymi szermuje właśnie Generals Bionic Company.

— Tak. Ale to detaliści usiłujący jedynie wykorzystać sprzyjającą koniunkturę. Znacznie groźniejsi
są ci, którzy starają się rozszerzyć te poczynania na całą bez wyjątku ludzkość — mam oczywiście na
myśli ludzkość przyszłości. Twierdzą, że nadeszła chwila, w której człowiek musi od nowa
stworzyć samego siebie — biomedycyna stała się więc dla niego jedyną szansą, otwiera bowiem
erę, w której człowiek stanie się swoim własnym stwórcą, co umoŜliwi ludzkości uczynienie z siebie
swego najwłaŝniejszego i najdoskonalszego tworu. Postuluje się przy tym kierowanie w przyszłości
ewolucją człowieka w celu osiągnięcia programowania eugenicznego postępu w genetycznej
strukturze człowieka i jego gwałtownego rozwoju:

intelektualnego, kulturalnego i technicznego. Ma to zapobiec, jak twierdzą poniektórzy,
„dotychczasowemu niedbalstwu społeczeństwa, które pozwala ludziom rozmnaŜać się, jak chcą,
produkując jednostki z punktu widzenia całego społeczeństwa i jego dalszego rozwoju zupełnie
nieprzydatne lub teŜ mało przydatne”!

— Na tych to założeniach opiera się „Program zero”?

— Właŝnie. A pierwszą próbą wcielania w czyn tych tyleŜ obłądnych, co utopijnych zamierzeń stało
się wytwarzanie jednostek ludzkich o specjalnym przeznaczeniu, wyposażonych in statu nascendi w
owe wspaniałe cechy. Powstało w ten sposób kilkaset istot w jakiś sposób kalekich, które członkami
społeczeństwa nie są, bo ukształtowane

w nich cechy, jak i odrębność przeŜyc sprawiają, że być nie mogą...

— Powiedział pan: kalekich...

— Tak. Cechy, jakie im dano, są bowiem anomalią, a więc jak każda anomalia są pewnym upośledzeniem. Fanatycy eugenicznego przeprogramowania ludzkości zapominają przy tym, że biomedycyna, przynosząc przemyślane, rozmyślane i zamierzone modyfikacje organizmu ludzkiego, a także jego struktury intelektualnej i psychicznej stwarza nie człowieka, lecz następne ogniwo w procesie — tym razem sterowanej rozumem, sztucznie sprowokowanej ewolucji.

— Czy to oznacza, że dla owych nadludzi tak zwany homo sapiens nie jest niczym więcej jak istotą niższego gatunku, która w jakiejś chwili — z punktu widzenia ich interesów — może stać się po prostu mniej lub więcej przydatna?

— Tak. Co w prostej linii prowadzi do wyhodowania przez ludzi rasy swych własnych panów, na długo przed tym, zanim cały gatunek mógłby w procesie rekonstrukcji osiągnąć ową hipotetyczną doskonałość.

— Lub rasy niewolników, jeśli produkcja ograniczyłaby się do nielicznych egzemplarzy znajdujących się pod stałą kontrolą.

— To jest teoretycznie możliwe, choć ja w to raczej wątpię. Rozwój produkcji dla nazbyt wielu wiązać się będzie z ich osobistą korzyścią, a zawsze znajdą się ludzie gotowi zrobić wszystko, byle za owo „wszystko” ktoś zechciał im zapłacić...

— Jaki więc byłby pana ostateczny wniosek, profesorze?

— Dalszych prób zmierzających do rekonstrukcji gatunku homo sapiens jak i tworzenia pozornie doskonałych jednostek ludzkich należałoby kategorycznie zabronić — jedna i druga sprawa wymaga bowiem inteligencji, wyobraźni i perspektywy emocjonalnej przekraczającej ludzkie możliwości.

Dążenie do stworzenia „nowego człowieka”, do przerobienia istoty ludzkiej wedle jej własnych planów kryje w sobie zbyt wiele niebezpieczeństw. Nie będę ich tu wszystkich wymieniał, są one jednak tak samo groźne i równie brzemienne w skutki, jak swego czasu rozwój broni jądrowej, bakteriologicznej czy chemicznej. Postępy biomedycyny, biochemii i biologii molekularnej wykorzystane w ten sposób mogą doprowadzić do zagłady ludzkości poprzez zepchnięcie istot dziś obdarzonych tym mianem do roli zwierząt niższego rzędu. Zapowiadają namby głębokie zmiany wszystkich wartości uznanych za humanitarne, wyznaczających nasze człowieczeństwo, i

przekreślają dotychczasowe wzorce moralne, ustanawiając prawa o charakterze transcendentnym

— ponad litością i ponad wszelką etyką... Całe moje dotychczasowe doświadczenie i wieloletnie badania skłaniają mnie do jednoznacznej a negatywnej oceny wszelkich usiłowań idących w tym kierunku...

— Takim — pośałowania godnym — wynikiem zakończyła się również próba programowania psychiki Randa Whartona?

— Bezwzględnie. W przeciwnym bowiem przypadku nie znaleźlibyśmy się na tej sali.

— Dziękuję, profesorze. Wysoki sędzie, obrona zakończyła badanie powołanych przez siebie świadków.

— Oskarżenie natomiast ma pytania do rzeczoznawcy Orдона, pytania bezpośrednio i ściśle związane z rozpatrywaną sprawą. Chodzi mi mianowicie o to, czy zespół cech „niehumanicznych”, jakie rzekomo spowodowały zamordowanie przez oskarżonego Ruiza Passadeny, można wytworzyć jedynie w sposób sztuczny, czy też człowieka poczętego i narodzonego w wyniku naturalnych, biologicznych procesów można tak też charakteryzować?

— Oczywiście. W dziejach ludzkości zdarzały się jednostki

w tym samym stopniu genialne, co bezwzględne

i pozbawione skrupułów, choć ich kod genetyczny nie był

programowany.

— I nikt czynami przez nie popełnionymi nie usiłował obciążać ich rodziców. Sądzę więc, że i teraz szukanie winy gdzieś poza samym Whartonem, łagodnie mówiąc, przeczy zdrowemu rozsądkowi.

— Pan prokurator zapomina, że istnieje dość wyraźna granica pomiędzy działaniem nieświadomym

i niezamierzonym, a ściśle ukierunkowanym, którego skutki powinno się przewidywać. Nawet

kodeksy karne stosują to rozróżnienie, przyjmując w zależności od stopnia premedytacji kwalifikację czynu — o czym chyba nie ja powinienem panu przypominać... — Skończyłem. Nie mam pytań.

— Zamykam postępowanie dowodowe. Rzeczników oskarżenia i obrony proszę kolejno o

zabieranie głosu.

— Wysoki sędzie! Szanowny mój przeciwnik starał się w czasie prowadzonego przez siebie badania wykazać, że oskarżonemu Randowi Whartonowi nie można wymierzyć kary, jego psychika została bowiem w taki sposób zaprogramowana i ukształtowana przez konstruktorów w Generals Bionic Company, że nie ponosi on odpowiedzialności za swoje czyny — a więc nie sposób też obciążyć go winą za popełnione zabójstwo. Konstrukcja ta jest nazbyt karkołomna, by mogła mnie przekonać; cały przewód sądowy świadczył — moim zdaniem — o czymś zupełnie innym. *

Nie doszukując się wymyślonych przyczyn przestępstwa oskarżonego w sposobie jego narodzin czy też — jeśliby użyć zwrotu, który, jak mi się zdaje, bardziej odpowiadałby rzecznikowi obrony — w sposobie jego powstania, ale podsumowując ujawnione tu fakty musimy stwierdzić:

Rand Wharton winien jest morderstwa z premedytacją, popełnionego na swoim towarzyszu ze stacji doświadczalnej Oberon Delta-2. Apokaliptyczne wizje przyszłości, z jakimi postarał się zapoznać nas rzecznik • -obrony, nie mają i mieć nie mogą żadnego wpływu na taką ocenę faktów.

< ii Wysoki sędzie! Być może rekonstrukcja ludzkości jest , planem poronionym. Być może godzi w uznawane • dotychczas wartości etyczne i humanitarne, a nawet s;*/;

zagrozi całkowitą zagładą rodzajowi ludzkiemu. Ale nie to jest przedmiotem tej rozprawy. Chciałbym przypomnieć. że zebraliśmy się tutaj nie po to, aby oceniać przydatność tego programu — w jego

wydaniu najszerszym, zmierzającym do przekształcenia całej ludzkości, bądź w węższym, realizowanym obecnie przez Generals Bionic Company. Jesteśmy tutaj po to, aby osądzić tylko jednego człowieka:

zabójcę, Randa Whartona.

Rand Wharton zabił — i to nie budzi najmniejszych wątpliwości. Sam oskarżony nie usiłuje zaprzeczać temu faktowi. Pobudki jego czynu są — moim zdaniem — tak samo oczywiste...

Wysoki sędzie! Widzimy tu nie zaprogramowaną, a więc przez sam fakt narzucenia jej owego programu — bezwinną maszynę biologiczną, jak chciałby wmówić nam wszystkim rzecznik obrony...

Widzimy tu człowieka, takiego samego jak każdy z nas — w tym samym stopniu obciążonych

niezależnymi od nas cechami psychicznymi danymi nam przez naturę, w jakim Rand Wharton został wyposażony w nie przez swoich stwórców. A jednocześnie widzimy tu potwora pośeranego pychą, która sprawiła, że uzurpował sobie prawo decydowania o życiu i śmierci innego człowieka. Potwora moralnego, który zabił tak samo zimno i cynicznie, jak w czasie swoich zeznań usiłował wmówić wysokiemu sądowi i wszystkim na tej sali, że jego czyn nie tylko nie zasługuje na karę i potępienie, lecz godzien jest pochwały jako działanie na korzyść całej ludzkości... Który nie zawahał się zabić i który nawet teraz nie okazuje żalu z tego powodu. Tak bowiem — w moim przekonaniu •—

wygląda prawda. Nie przekonały mnie ani dowody przedstawione nam **przez**

obronę, ani zeznania oskarżonego... Wysoki sędzie, wnioskuję o najwyższy wymiar kary.

— Wysoki sędzie. Sprawa przeciwko Randowi Whartonowi jest, moim zdaniem, w rzeczywistości rozprawą przeciw tym wszystkim, którzy chcieliby ingerować w nie poznane do końca, nie zawsze zrozumiałe i złote naturalne procesy — w fałszywie pojmowanym dążeniu do udoskonalenia

ludzkości lub też dla własnych, egoistycznych celów; to w ostatecznym efekcie jest bez większego znaczenia... Oskarżony, Rand Wharton, zabił. Zabił nie w samoobronie, lecz w imię niepojętych dla znacznej większości ludzi przekonań, dążeń, idei... Czy zabiłby tak samo, gdyby — dla zgodnego z ich założeniami wykorzystania posiadanych zdolności — nie został przez swych stwórców

wyposażony w cechy nakazujące dążyć do rezultatów za wszelką cenę, gdyby nie pozbawiono go normalnych, ludzkich odruchów na rzecz zimnego, logicznego myślenia? Tego nie wiemy i nie dowiemy się nigdy... Wiemy tylko, że zabił wyposażony właśnie we wszystkie te cechy. W jakim stopniu ów czyn obciąża więc Whartona, a w jakim jego stwórców — tego także nie sposób dociec, nie sposób tu rozstrzygnąć. Ja jednak nadal twierdzę, że proces ten jest procesem przeciw nim

właśnie, przeciw tym wszystkim, których oddziaływanie na jednostkę ludzką — pozornie ją doskonaląc — prowadzi w rzeczywistości do powstawania istot w jakimś stopniu kalekich... Bo — ingerując w najbardziej własną, niepowtarzalną i stanowiącą jego najwyższe dobro sferę

człowieczeństwa (mam tu na myśli sferę ludzkiej psychiki), uzyskują pośądane z ich punktu widzenia korekty osobowości w sposób będący w rzeczywistości gwałtem na ludzkiej istocie, nie narodzonej, a więc bezsilnej i nie mogącej się bronić... Bo pozbywając jednostkę ludzką niepewności i wahań wpływających ze zdolności do odbierania uczuć być może czynią ją istotnie przez jej nieugiętość wspaniałą, ale też — i przede wszystkim — czynią ją całkowicie nieludzką... Sprawa przeciwko

takiej istocie jest po raz pierwszy rozpatrywana przez jeden z sądów ziemskich. Dlatego teŜ pozwolę sobie zwrócić uwagę wysokiego sądu na kilka jej aspektów, mających, moim zdaniem, znaczenie precedensu. Zacznę od tego, co wiąŜe się bezpośrednio z osobą oskarŜonego Whartona... Wysoki sędzi! Obrona zamierzała wykazać — i w trakcie przeprowadzonego badania bezsprzecznie wykazała — Ő konstrukcja psychiczna oskarŜonego jest diametralnie róŜna od takiej, którą moŜemy uwaŜać za typową. Te anomalie miały istotny wpływ na podjętą przez niego decyzję zabójstwa Passadeny, nie moŜna więc uznać Randa Whartona za człowieka w pełni odpowiedzialnego za swoje czyny — przynajmniej w rozumieniu paragrafu 1 i 2 artykułu 248 kodeksu karnego... Stanowi to więc przesłankę wykluczającą odpowiedzialność karną tego człowieka... Ale z tym faktem wiąŜe się inny, szerszy juŜ aspekt sprawy. Bo orzeczenie, jakie zapadnie w procesie Randa Whartona, będzie nie tylko orzeczeniem precedensowym, wzorem regulującym w przyszłości kwestię odpowiedzialności karnej ludzi skonstruowanych wedle z góry załoŜonego programu. Orzeczenie to moŜe determinować dalsze postępowanie w tej sprawie, od niego, być moŜe, będzie teŜ zaleŜało, czy ludzi takich jak Wharton będzie się konstruować nadal, dąŜąc do zrealizowania obłądnych planów rekonstrukcji całej ludzkości, czy teŜ zaniecha się dalszych prób w tej dziedzinie...

Stoimy bowiem u progu nowych przemian gatunku homo sapiens, przemian tak samo nieodwracalnych i istotnych jak te, które w ciągu milionieci przyniosła ewolucja. Proces ten moŜe narosnąć lawinowo lub zostać zahamowany. I nie sposób wykluczyć, Ő od decyzji powziętej dzisiaj będzie zaleŜeć, którą z tych dróg obierze w przyszłości ludzkość...

Dlatego teŜ, podejmując ową decyzję, naleŜałoby zastanowić się nad jednym: być moŜe, dzięki produkcji "doskonałych" jednostek ludzkich, a następnie dzięki programowaniu dalszych pokoleń uzyskamy istoty zdolne przewycieŐć nie tylko barierę Őwiatła, lecz odkryć nowe prawa pozwalające im na opanowanie planet Układu Słonecznego oraz systemów innych, odległych gwiazd, a nawet galaktyk. Ale juŜ teraz wypada nam rozwaŜyć: czy ci, którzy owe Őwiaty podporządkują sobie i zasiedlą, będą wciąŜ jeszcze ludźmi... Tego nie wiem, wysoki sędzi, i myślę, Ő nikt nie znajdzie na to pytanie odpowiedzi. Ale wiem jedno: Rand Wharton w pełni człowiekiem nie jest. A więc nie moŜe odpowiadać za swoje czyny przed Őadnym trybunałem Ziemi... Wysoki sędzi — wnoszę o uwolnienie mojego klienta od winy i kary.

— Sąd wzywa oskarżonego do wypowiedzenia ostatniego słowa.

— Wysoki sędzie... po wszystkim, czego dowiedziałem się tu... w dniu dzisiejszym... rezygnuję z prawa do zabierania głosu w swojej obronie... przysługującego oskarżonemu... człowiekowi.

— Zamykam zatem posiedzenie w sprawie Randa Whartona. Sąd uda się na naradę, aby rozważyć dowody ujawnione w toku postępowania procesowego przed wydaniem wyroku...

Błękitna Planeta

Miał wrażenie, że ThOREN zupełnie go nie słucha; od dłuższej chwili stał tyłem, nieruchomy, wradarowany w rozciągającą się nad powierzchnią milczącego miasta ciemność, jakby jedyną rzeczą godną jego uwagi było przemiatanie się czarnych wirów przedświt nad kamienistą pustynią. Ale się mylił. Jeszcze nie skończył mówić, gdy tamten odwrócił się gwałtownie i jego strach uderzył go

z taką siłą, jakby to było nie uczucie, lecz bardzo niski dźwięk.

— Nie zrobisz tego, FeLiXe. Nie możesz tego zrobić. Czy nie rozumiesz...

Był całkowicie spokojny. Przerażenie ThORENa nie mogło go dotknąć, niepokój i niepewność miał

od dawna za sobą. Obojętnie, jak gdyby mówił do ciemniejących regularnie powierzchniowych ekranów albo po prostu do samego siebie, powiedział:

— Postanowiłem. Zrobię.

— Oszalałeś. — W tym jednym słowie była nagła bezradność; na chwilę pośmiał ThORENa, dla którego to wszystko musiało stać się wstrząsem takim samym, jakim — kiedyś — było dla niego. Ale ten śmiech nie mógł niczego zmienić. Powtórzył więc łagodniej:

— Nie potrafiłbym się już wycofać, ThOREN... Nie można udawać przed sobą samym, że nie poznało się prawdy.

— Czy nie rozumiesz, że nikt ci nie uwierzy? Nigdy Śadnej Rozumnej Istoty nie uda ci się przekonać, że Śyde mogło rozwinąć się w temperaturze absolutnego zera OXeNTiErNe'a, przy niemal stokrotnie niższym ciśnieniu, w zabójczym świetle, przekraczającym kilkunastokrotnie

najwyższą dopuszczalną dawkę? Na planecie, mającej atmosferę pozbawioną prawie dwutlenku węgla, a składającą się w siedemdziesięciu ośmiu procentach z azotu i w dwudziestu jeden — z tlenu? Pokrytej w dwóch trzecich swojej powierzchni jego ciekłym związkim? Właśnie na Trzeciej Planecie naszego systemu, którą — czterokrotnie w ciągu każdego jej obiegu dokoła Gwiazdy Sol — muszą wstrząsać przemiany o charakterze gwałtownych kataklizmów, skoro — jak wszyscy wiemy — jej oś obrotu jest nachylona pod kątem sześćdziesięciu stopni do płaszczyzny ekliptyki? — Przecież nie twierdzą, że jest to Syde takie samo jak nasze.

ThOReN poruszył się gwałtownie, jego cień — rozłamany w błękitnym blasku monitorów — zawisł nad nimi zgroźniały i groźny.

— Znasz USTAWĘ, a więc wiesz dobrze, że Syde może być tylko jedno, że tylko jedna i nie podlegająca przemianom jest Forma Absolutu...

— Nie wiem. Wierzyłem w to tylko — jak wszyscy. Ale wierzyć i wiedzieć to jeszcze nie to samo.

— Więc już nie wierzysz?

— Nie. Teraz wiem.

— Nie masz prawa FeLiXe...

— Czy rzeczywiście sądzisz, że prawda może podlegać jakimś prawom?

Zamilkli obaj, dsza zaczynała się coraz bardziej przedłużać. A potem ThOReN wybuchnął nagle, jakby chciał bronić siebie przed wszystkim, co usłyszał:

— Prawda? Te twoje hipotezy stoją w sprzeczności z USTAWĄ. Syde może mieć wyłącznie jedną Formułę. Dlatego też powtarzam: na Błękitnej Planecie nie tylko **nie** istnieje, ale nigdy nie miało najmniejszych szans, aby powstać. — Cofnął się nieco i jego den znów skurczył się i zmałał, przyczajony, odepchnięty nieruchomym światłem. — To jest... po prostu to niemożliwe...

— To nie tylko niemożliwe. To pewne. Powstało. Więcej:

w swej ewolucji osiągnęło fazę istnienia Rozumnych...

— FeLiXe...

— Znów powiesz: to niemożliwe, bo nauczono de wierzyć, że tylko raz we Wszechświecie i tylko

tutaj miał powstać Rozum, odbicie Absolutu? A ty przecież nie jesteś jednym z Niezliczonych,

którym wystarczają prawdy oficjalnie uznane, byś tylko wierzył, nie myśląc... I wiesz, że w naszych dziejach zdarzały się już prawdy, które nie były prawdami, choć kiedy funkcjonowały, nikt nie ośmielił

się ich kwestionować. Czy muszę przypominać? Wierzono, że Biała Planeta jest nieruchomym

Jądrem Ciemności, że jest jedynym materialnym daniem, jakie istnieje w Czarnej Pustce, wierzono w to tak długo, póki nie nauczyliśmy się budować bolidów zwiadowczych, zdolnych przebijać warstwę otaczających naszą planetę chmur... Czy kiedykolwiek ty albo jakakolwiek Istota Rozumna widziała gwiazdy? Nie — i nigdy ich nie zobaczysz. A przede wszystkim wiesz, że istnieją, bo to zdołaliśmy zbadać, bo masz na to dowody. Ja także mam dowody...

— Dowody na istnienie Rozumnych na Błękitnej Planecie?

— Tak. Odebrałem sygnały. Niejednokrotnie. Sygnały w paśmie międzygwiazdowego wodoru. Są

zrozumiałe — można je przełożyć na język matematyki wyższej. ThOREN,

nie mogłem się pomylić. To odkrycie potwierdza wszystkie inne badania. Ja przecież nie

przyszedłem z tym od razu do ciebie. Nim uzyskałem pewność... Ja, widzisz, pracuję nad tym od

osiemnastu lat...

Cień ThORENa zawahał się na granicy mroku i światła i opadł w ciemność — nieważny,

niewidoczny.

— To znaczy... że przez wszystkie te lata... poza normalną pracą, w tajemnicy, zajmowałeś się tym?

— Tak. A teraz chcę ogłosić swoje wyniki. Zrozum — muszę to zrobić.

— Czy nie rozumiesz, że wystąpienie z takimi twierdzeniami musi stać się nie tylko końcem twojej kariery, ale i końcem ciebie? Nie tylko ciebie, także tych wszystkich, co — wiedząc o twoich

zamiarach — nie udaremnili ich? Którzy nie próbowali odwieść cię od tych szaleństw? — Strach

ThORENa był znów intensywny jak dźwięk, z każdym kolejnym zdaniem potęgował, wypełniał teraz

szczelnie przestrzeń zamkniętą fosforyzującymi ścianami, stawał pomiędzy nimi dwoma dotykającą

przegrodą. — **Czy ty naprawdę nie wiesz, czym ryzykujesz i na co się narażasz?**

— Nie przestraszysz mnie, ThOREN.

— Prowadziłeś badania zabronione USTAWĄ!...

— I te badania pozwoliły mi odkryć prawdę!

— To nic nie znaczy.

— To znaczy, że USTAWA nigdy nie miała sensu. I jako taka powinna być zniesiona.

— Ty naprawdę jesteś szalony. Kto ośmieliłby się podważyć USTAWĘ? Jest niezniszczalna, musi istnieć, bo jest podstawą całego Systemu. Czy nie rozumiesz, że cały System rozpadłby się natychmiast, gdyby udowodniono nieprawdziwość USTAWY?

— ThOReN, ona jest nieprawdziwa! Czy istotnie jedyną rzeczą godną Istot Rozumnych jest być zgodnie z USTAWĄ, która nie odpowiada prawdzie? Tylko dlatego, że raz została stworzona?

— Zmierzasz do obalenia USTAWY?

— Ustawy winny służyć Rozumnym. Nie odwrotnie.

— Zmierzasz do obalenia USTAWY? — Tak.

Miał to więc już za sobą; to, o czym wiedział, że będzie dla tamtego najtrudniejsze do przyjęcia, zostało powiedziane. Kiedy zdecydował się na tę rozmowę, postanawiając wtajemniczyć ThOReNa w swoje zamiary, tej chwili obawiał się najbardziej — znał go tak dobrze, a przecież nie potrafił przewidzieć jego reakcji na słowa, które dla każdej z Istot Rozumnych musiały stać się wstrząsem, skoro wiara w niepodważalność USTAWY była najmocniejszą i niewzruszalną podstawą każdego ich myślenia. Więc uprzedzając to, co tamten mógłby teraz zrobić, powiedział szybko:

— ThOReN. Nie oczekuję, byś mi od razu uwierzył. Ale spróbuj przypuścić — tylko na chwilę — że jednak ja mam rację. I że moje odkrycie jest prawdziwe. A wszystko, co dotąd wiemy, wszystko, w co wierzyliśmy, jest jednym wielkim fałszem. Ty jesteś naukowcem i tak że należysz do

Wtajemniczonych, zostałeś w pewien sposób wybrany. Pytam:

co zrobiłbyś na moim miejscu?

Cisza wydała się głębsza, kiedy tak czekał w milczeniu

błękitnych świateł na odpowiedź ThOReNa. A kiedy tamten

nareszcie zaczął mówić, wydało mu się, że głos dochodzi z większej odległości niż przedtem, jakby rozdzielająca ich przestrzeń mogła się w jakiś niedostrzegalny sposób powiększyć.

— Gdybym — jak ty — potrafił jeszcze wierzyć w rozsądek Istot Rozumnych, prawdopodobnie robiłbym **to**, co i ty...

Urwał i wydawało się, że więcej nic nie powie. FeLiXe zdziwił się, kiedy usłyszał go znowu, ale jeszcze bardziej zdziwiło go to, co mówił:

— Właściwie powinienem d zazdrościć twojej naiwnej wiary, że zdołasz cokolwiek zmienić, kogokolwiek przekonać. Odkryłeś pewną prawdę — jak widzisz, gotów jestem założyć, że wyniki twych badań istotnie odpowiadają prawdzie — wywracającą cały nasz System, wszystko, co wiemy, i wszystko, w co wierzymy — i oczekujesz, że Rozumni, w imię tej twojej prawdy, zrezygnują ze stworzonego przez siebie i dla siebie Systemu, który — poza wszystkim — ma jeszcze i tę wartość, że pozwala im wierzyć we własną doskonałość, własną niepowtarzalność, a co za tym idzie — w niezaprzeczalną prawidłowość wszystkiego, co kiedykolwiek myśleli lub czynili... A ty chcesz im to zabrać, zabrać to wszystko, co zbudowali przez całe wieki świadomego istnienia, chcesz doprowadzić do zniesienia USTAWY dającej im podstawę do dumy z samych siebie, rozbić System, dzięki któremu istnieją — nie dając im nic w zamian?

— Nic?! Przecież — zamiast kłamliwego Systemu — chcę **dać** im prawdę.

— I sądzisz, że to wystarczy? Wierzysz, że to w ogóle możliwe, że Istoty Rozumne zechcą ją przyjąć tylko dlatego, że to jest właśnie prawda?

Opór ThORENa zaczynał drażnić i dziwić, ale tym razem zdołał jeszcze opanować zniecierpliwienie.

— Tak. Dlatego, że Rozum oznacza tyle samo co dążenie ku prawdzie.

Wydawało mu się, że tamten zareagował niespodzianym szyderstwem, ale to chyba było tylko złudzenie; ThOReN był tak samo nieruchomy i nieprzenikniony jak przedtem i — tak samo spokojnie — mówił dalej:

— Czy nie rozumiesz, że właśnie System pozwolił gatunkowi Istot Rozumnych nie tylko przetrwać, nie tylko wegetować w warunkach tej planety, ale rozwinąć się, zapanować nad swoim środowiskiem, stworzyć naszą obecną cywilizację, naszą wspaniałą technikę? że bez tego

wszystkiego podzieliłibyśmy los Nieugiętych, a w miejsce naszych miast wznosiłyby się groby — jak tam na południowej półkuli? Mówił to wszystko tak, jak gdyby ktoś mógł ich zobaczyć i usłyszeć; FeLiXe mimo woli odwrócił się ku najeżonej ostrymi kryształkami tarczy inwigilatora. Ale nic się nie działo, chropowata powierzchnia była nadal milcząca, ciemna i martwa; milcząca, ciemna i martwa miała pozostać jeszcze przez siedem thani — promienie LiThONa nie potrafiły przeniknąć przez

zakrzywienie pola, które powodowały pracujące na maksymalnych obrotach szukacze monitorów.

Wiedzieli o tym obaj, a — mimo swojej wiedzy — nie potrafili pozbyć się nabywanych w dągu całego Śycia odruchów istot znajdujących się prawie zawsze pod obserwacją, cenzurujących każdą

swoich myśli, zanim — wypowiedziana — zostanie przechwycona przez zespoły śledzenia,

nadzorujące Śycie każdego z nich, niezależnie od tego, czy był — jak oni — jednym z

Wtajemniczonych, czy też należał do bezimiennej rzeszy Niezliczonych. FeLiXe, patrząc w oślepy i teraz nieszkodliwy inwigilator, podjął z wyraźną ulgą:

— Ale te czasy, gdy System był niezbędny, dawno minęły. Sam zresztą powiedziałeś: udało nam się podporządkować sobie środowisko planety, stworzyć cywilizację i współczesną technikę. I System

stał się zbędny. Jest przestarzały... Nie wiem, może USTAWA kiedyś istotnie sprzyjała Śydu. Teraz jest przeciw niemu. Bo przez nią i przez System społeczność Istot Rozumnych stanęła w miejscu. A to oznacza regres...

— To truizm, wiesz, FeLiXe? Od ciebie oczekiwałbym jednak czegoś innego.

— Poczekaj, uzasadnię. Nie mamy dokąd dążyć, osiągnęliśmy tyle na miarę swojej planety, że teraz każde działanie będzie już tylko kręceniem się w kółko. A więc Istota Rozumna, jako gatunek, przestanie się rozwijać, przestanie dążyć naprzód — bo nie ma dokąd i po co... **To**, co ja proponuję, jest wyjściem z martwego kręgu — nie tylko dla wybranych; dla całego gatunku... Moje odkrycie

przekreśla naszą wiarę w niepowtarzalność i wyjątkowość nas samych, odbiera moŜe poczude doskonałość tworowi, który sam siebie nazwał kiedyś Istotą Rozumną, ale takŜe — otwiera przed nim drogę do kontaktu, a moŜe nawet — współpracy z innym Rozumem istniejącym we Wszechświecie. Wyznacza dalsze cele na miarę juŜ nie jednego, przypisanego do jednej planety intelektu... ThOReN, jeŜeli zdołam przekonać Rozumnych, jeŜeli mi uwierzą — terenem naszego działania moŜe w przyszłość stać się nie tylko Biała Planeta, lecz dzięki sile dwóch umiejących się z sobą porozumieć i współpracować gatunków — cały układ naszych dziewięciu planet obracających się wokół Gwiazdy Sol, a nawet — Kosmos... Cisza, która zapadła, wydała mu się głębsza niŜ kiedykolwiek przedtem. Przez chwilę było tak, jak gdyby wszystko znieruchomiało razem z ThOReNem: tuleje monitorów, płaskie tarcze przyrządów pomiarowych, fale zimnego światła — i nawet czarne, bezdenne wiry piaskowej burzy przemiatającej się na powierzchni planety, ponad uśpionym miastem — zdawały się tęŜeć i zastygać na ekranach. A potem ThOReN poruszył się gwałtownie i to złudzenie rozwiało się w jednej chwili. Zaczął mówić — niechętnie, jak gdyby z trudem; FeLiXe pomyślał, Ŝe tak mógłby przemawiać ktoś bardzo stary i jeszcze bardziej znuŜony: — To wszystko mrzonki, FeLiXe. Nierealne, jak twoja wiara, Ŝe jakakolwiek prawda jest nam. Rozumnym, potrzebna, Ŝe jest poszukiwana, moŜe mieć jakieś znaczenie. Nikogo nie porwiesz wizją Kosmicznego Kontaktu, gatunek Istot Rozumnych nigdy nie marzył o gwiazdach, przez całe swoje dzieje dąŜąc tylko do tego, by jak najdoskonalej urządzić swoje Ŝyde pod powierzchnią planety, na której przyszło nam istnieć, wryć się pod jej skorupę zapewniającą im jakieś bezpieczeństwo, zbudować tam swoje miasta, swoją cywilizację. Tylko nielicznym starczało wyobraźni, by starać się przeniknąć pokrywę otaczających planetę chmur, wyjść — choćby w myślach — poza atmosferę Białej Planety; d z wyobraźnią prędzej czy później kończyli wreszde w Rezerwatach dla Nieprzystosowanych...

Wystarcza nam to, co mamy, nikt nie chce Ŝadnego „więcej”, choćby to rzeczywiście miało oznaczać regres... Ŝyć jak Ŝyjemy jest po prostu wygodnie. Dla większości. A większość to jest siła, której nie przewycięŜysz, z którą nie ma co walczyć — bo to jest siła bezwładu...

— A jednak — spróbuję walki...

— Z naszą obojętnością, lenistwem, wygodnictwem? Czy po prostu — z USTAWĄ? Czy nie widzisz,

Ŝe tak czy owak musisz tę walkę przegrać? Na kim się oprzesz? PrzecieŜ nie na Wtajemniczonych,

których wiedzę chcesz rozbić... Na Niezliczonych? Im od dawna wystarcza to, co zapewnił im

System: Ŝycie bez wstrząsów, nijakie, ale i pozbawione jakichś większych przykrości; niewybredna rozrywka i łatwo osiągalna porcja codziennego pokarmu. JeŜeli jeszcze czasem podnoszą jakiś

bunt, to tylko w imię warunków materialnych, nie w imię jakichś gwiazd... Marzycieli nie znajdziesz takŜe pośród Wykonawców USTAWY ani wśród jej StraŜników — a przecieŜ od nich zaleŜą losy

świata, w którym Ŝyjemy, na nich wspiera się cała siła Przywódców, których celem jest tylko

wykonywanie moŜliwie nieograniczonej władzy, a taką mogą sprawować jedynie w świecie

podziemnych miast, nigdy — nad społeczeństwem zasiedlającym System Dziewięciu Planet... Tylko

z rzadka i tylko dla tych, którymi rządzić się nie da — dla Nieprzystosowanych — otwiera się granica Hermetycznego Kręgu, a ty chcesz wierzyć, Ŝe zdołasz otworzyć ją dla wszystkich? Choćbyś mógł

nawet ofiarować Rozumnym nie tylko jeden Układ, lecz całą megalaktykę, Przywódcy nigdy nie

będą zainteresowani tym, co mogłoby osłabić ich władzę:

ich własna korzyść jest dla nich ponad wszystko, nigdy nie myślą — i nigdy nie myśleli — o interesie rządzonych przez siebie Istot...

To wszystko brzmiało bardzo prawdopodobnie — to było prawdopodobne, więcej: pewne. A jednak

nie mógł, nie potrafił, nie umiał przyjąć racji ThOReNa. Czuł w sobie rosnący z kaŜdą chwilą głuchy i tępy upór, determinację — nie zdołałby zawrócić z tej raz obranej drogi, jak w Ŝaden sposób nie mógłby cofnąć czasu, wracając do spokojnych, gnuśnych tal własnej niewiedzy — wygodnej i

bezpiecznej. Powiedział:

— Nie. — I w odpowiedzi na zdumienie ThOReNa, nie pojmującego przyczyn tego przeczenia: —

Nie dlatego, Ŝe to, co mówisz, uwaŜam za nieprawdę. Wiem, Ŝe jest tak, jak twierdzisz. A jednocześnie — nie mogę przestać wierzyć w **rozsądek Istot** Rozumnych. Jeśli poznają prawdę...

| Tamten Ŝachnął się gwałtownie, starał się opanować, ale fc niezbyt mu to wychodziło: zaczął

niecierpliwie i szybko, ostrym i podniesionym głosem, jakim przemawia się do upartych i tępych,

tych, co nigdy niczego nie są w stanie zrozumieć — do Posługaczy albo Niezliczonych.

— Nie chcesz pamiętać, Œe dzieje naszego Œwiata obfituj w przykady dowodzce, iŒ Istota

Rozumna — odkad tylko zaczela posługiwa si tym swoim rozumem — uŒywaa go gównie po to,

by sobie udowodni, Œe tylko to, w co chce wierzy, jest prawd. I jeszcze — zmusi do milczenia jednostki, ktore prawd wyznawanych przez ogol nie chciay przyjac, uznawa.

Urwa, ale po chwili zaczal znowu wyrzuca z siebie sowa — gwatownie, niecierpliwie, jak gdyby to wszystko zbierao si w nim od dawna i jakby teraz, nagle, poczul, Œe musi to wreszcie

wypowiedzie:

— Twoje dowody bed bezsilne, FeLiXe. Nie przyjmujemy nauki niezgodnej z tym, w co wierzymy, a

wierzemy w to tylko, w co sami chcemy wierzy. Ci, ktorzy tego nie potrafili zrozumie, umierali zazwyczaj szybko i trudn Œmierci, tak byo zawsze, tak zreszt jest i teraz. Nie zmuszaj mnie, Œebym ci opowiada rzeczy znane kaŒdemu, nawet najmniej przeszkolonemu Posługaczowi. Wiesz,

jak zgineli TeLuAr i ErBiAsNi, bo ich teorie — w czasach, w ktorych je glosili — wikszoŒci Istot Rozumnych zdaway si nie do przyjecia. Wiesz, co spotkao IrTeGa. Ale tego by moŒe nie wiesz, Œe nawet TeNoHInLAN, ktorego nazywamy ojcem naszej nauki, musiał umrze, by w kilkanaŒcie tal

po jego Œmierci NaVArTeS mog triumfalnie kontynuowa jego nauk. Tak, umrze — bo w owych

czasach jego pogady byy — mowiac łagodnie: bardzo niepopularne. I tego nie wiesz moŒe, Œe

kiedy TeNoHInLAN oglosi swoj teori — by dosyc nieostroŒny, by j oglosi — wzito go na

tortury. Nie odwoal i upor, z jakim glosi j — aŒ do konca — sprawi moŒe, Œe po nim mog przyjŒ NaVArTeS. MoŒe to wszystko i piekne, ale zupenie bez sensu. A w kaŒdym razie dzisiaj, w naszych trzeŒwych i zbyt wygodnych czasach. Nie warto juŒ umiera dla Œadnej prawdy, FeLiXe. DoŒ mamy

meczennik. W ich liczbie nie musisz by jeszcze ty... Umilk i jakby zmaal, nawet jego den zdawa

si kuli i kurczy, by taki may, jak den debilnego warani, a nie Istoty Rozumnej. Ale to tylko poblask bijcy z powierzchniowych ekran zaczal przybiera na sile; tam ponad nimi, na

kamienistej, zamiatanej gorcym wichrem

pustyni, czarne wiry przedŒwitu zaczynay rozpływa si i rozpada, mrok rzedni, zbliŒal si teraz dzie. FeLiXe poczul nagy, niespodziewany przyplyw niepojętej otuchy;

atawistyczne uczucie, odziedziczone po jakś odległych, Śyjących jeszcze tam, na powierzchni, przodkach, dla których czas trwania dnia był czasem nadziei, tak jak noc — równa połowie czasu obiegu Białej Planety dokoła Gwiazdy Sol — musiała być jedynie okresem zagroŜenia. Wszystkie obawy ThOReNa wydawały się teraz nadmierne, niepokój przesadzony. Zareplikował:

— Ale to, o czym mówisz, zdarzało się dawno:

TeNoHInLAN Śył przecieŚ w Okresie Fanatyzmu, w Erze Nietolerancji, tak samo zresztą IrTeGa i ErBiAsNi...

— Niewiele się zmieniło, to tylko my znaleźliśmy pochlebną nazwę dla tej epoki. Nasz czas nie jest Erą Sprawiedliwej Równości, tak jak i tamten nie był wyłącznie czasem nietolerancji. Jesteś młody, FeLiXe, za bardzo wierzysz w słowa, ulegasz magii nazw. To tylko środki są nieco mniej drastyczne, sposób działania pozostał w końcu ten sam. Czasem — nawet i środki pozostają bez zmian. Czy

wiesz, Śe kiedyś, w Okresie Fanatyzmu, jeŚeli ktoś naraził się Jedynie Oświeconym, wymazywało

się jego imię z wszystkich przekazów, w jakich zostało kiedykolwiek uwidocznione, zacierano je

wszędzie, nawet na jego grobie? Dziś StraŚnicy USTAWY kaŚą prześwietlać zwoje wyrzucając z

nich kaŚdą wzmiankę o jednostkach, które w jakiś sposób naraziły się Systemowi. Nic się nie

zmieniliśmy. Nie mówi się o niektórych Istotach, przemilcza się niewygodne dla Przywódców fakty.

Czy słyszałeś o buncie Niezliczonych w Południowym Okręgu, o ich manifestacjach w Osadzie

Ciszy i Mieście Braterskiego Spokoju? No właśnie. A moŚe pamiętasz jeszcze TaNaIr i InGeTa? O

nich teŚ się nie mówi, nie ogłasza się ich prac. A wiesz dlaczego? Bo ośmielili się wystąpić z

Śądaniem, by tamtych, zbuntowanych, nie zsyłano do Rezerwatów bez sądu... Powierzchnie

inwigilatora przemknął róŜowy, opalizujący błysk. I zaraz zgasł — szukacze monitorów tylko na

krótką chwilę przerwały swoją pracę; przez jeden thani miały działać jeszcze na zwolnionych

obrotach, ten jeden thani był teraz nie tylko miarą czasu, lecz miarą bezpieczeństwa. ThOReN

zaczął się spieszyć — było tak, jakby nie mówił, lecz dąŚył dokądś uparcie, jak gdyby musiał tam dotrzeć, nie będąc w stanie — skoro juŚ raz wyruszył — zatrzymać się w pół drogi.

— Z tym wszystkim i Przywódcy, i Wykonawcy USTAWY

uwaga nas chyba nie za Istoty Rozumne, lecz za stado debilnych warani, tłocząc nam w myśli wszystkimi dostępnymi środkami swoje slogany o równości, sprawiedliwości i Radosnej Wegetacji Społecznej, których ostoją ma być jakoby System. I to się im udaje — widocznie trafił im się doskonały materiał. Wierzymy w podawane nam pseudoprawdy, wierzymy w niepodważalność naszego Ładu, w nieomylność USTAWY, w Teorię Absolutu i w System. Odrzucamy to wszystko, co godzi w te wartości. Jeśli już nie możemy czegoś zniszczyć, wypalić aż do końca, staramy się to chociaż przykroić do naszych wyobrażeń, wepchnąć w szablon, przyglądzić — chociażby to się nawet po tych wszystkich zabiegach miało okazać nie wiem już jak fałszywe. Wolimy fałsz niż prawdę, byleby tylko odpowiadał on naszym założeniom, naszemu sposobowi widzenia świata. Będziemy się w nieskończoność załgiwać, byleby nie naruszyć tej raz skleconej budowli, którą ktoś kiedyś nazwał Systemem. Tacy jesteśmy — my, Istoty Rozumne. Nie zmienisz tego, FeLiXe. Możesz tylko przystosować się — albo zginąć.

Inwigilator błysnął znowu — raz, krótko — jakby niecierpliwiła go przymusowa bezczynność; w tym błysku ThOReN wydał się bardzo stary i bardzo zmęczony. I choć opalizujący promień natychmiast zgasł, wrażenie pozostało. FeLiXe czuł teraz dla tamtego politowanie — pobłażliwe i drwiące jednocześnie. Nie mógł mu wierzyć, ThOReN nie mógł mieć racji, jak nigdy jej nie mają d słabsi i znużeni, d którzy rezygnują. śałował, że tu przyszedł, szaleństwem było sądzić, że tamten go zrozumie, że pojmie jego wiarę, że choćby coś doradzi, jeśli już nie pozwoli skłonić się do współpracy. Światło błysnęło znowu. FeLiXe dostrzegł gwałtowny strach ThOReNa, dostrzegł go wcześniej, niż — w normalnych warunkach — potrafiłby go wyczuć, i jego litość wzrosła. — Lepiej chyba, żeby mnie tu nie było, kiedy wyłączą się monitory — powiedział.

ThOReN milcząco przytaknął. Teraz znowu nie myślał, teraz tylko się bał. FeLiXe — jak na początku rozmowy — wyczuwał dobrze ten intensywny strach.

Był już przy wyjściu, kiedy wstrzymała go niewypowiedziana

prośba ThOReNa. Odwrócił się — ThOReN, stary

i przykurczony, zdawał się maleć jeszcze na tle swych aparatów.

— Mimo tego wszystkiego, co dziś powiedziałem, nie zrezygnujesz, FeLiXe?

— Wiesz przecieŜ dobrze, Őe nie. , ^ Y

Coś jeszcze go niepokoiło, FeLiXe czuł to dobrze, choć nie potrafił odgadnąć, co to właściwie jest. **Wreszcie** zrozumiał.

— Nikt się nie dowie, moŜesz być całkiem spokojny. Dlatego właśnie chciałem rozmawiać tutaj, wtedy gdy monitory... Nikt nie musi wiedzieć, Őe rozmawiałem z tobą o wszystkim ani co ty mi powiedziałaś, ThOReN. W ogóle — Őe tu byłem. **Ze** znałeś moje zamiary. Nikt...

— Tak. Jeśli ty będziesz milczał.

— Będę milczał. Nie przyszedłem tu szukać współwinowajcy, ThOReN.

— Czasem wygodniej jest nie być jedynym winnym.

— Mylisz się. Nie będę obwinionym. Będę — po prostu — jednym z Wtajemniczonych, który odkrył prawdę nie **znana** dotąd Rozumnym.

— Nie uwierzyłeś mi ani trochę, prawda?

— Nie.

Kiedy osłona wejścia zamykała się za nim, łagodnym światłem zapłonął bezszelestnie włączony inwigilator. FeLiXe, oddalając się ciemnym, sklepionym korytarzem, _;

miał przez chwilę wraŜenie, Őe chropowata od połyskliwych, kryształów tarcza moŜe go

obserwować nawet tu, choć iy dzieliły go od niej tikoroluidowe nieprzenikliwe ściany. Pod*,

frontową, jedyną ścianą gmachu obserwatorium czekał na •;> niego bolter — w tym samym miejscu, w jakim przed ośmiu thani (czy to moŜliwe, Őe upłynęło ich osiem?) FeLiXe go zostawił. Zapadł w wygodne siedzenie, pomyślał, Őe teraz jak najszybciej chciałby się znaleźć w domu, i pojazd,

kierowany tym niewypowiedzianym rozkazem, wystrzelił w ciemność komunikacyjnego tunelu, który

natychmiast rozjarzył się na jego przyjęcie pasami ruchomego, oślepiającego blasku, gasnącymi po przemknięciu bolidu tak samo nagle, jak nagle rozjarzyły się na jego przyjęcie. FeLiXe nie musiał

tego widzieć, by wiedzieć, że jest tak właśnie; tak było przecie od zawsze, znał to od chwili, gdy zaczął być postrzegany. Przemykające światła nużyły — był zmęczony — więc wyłączył obydwie

zmysły: radarowy i wzroku, i pogrążył się w jądrze swojej wewnętrznej, łagodnej i przyjaznej

ciemności pomyślał — jak gdyby ciągle jeszcze odpierał wątpliwości ThOReNa: „A jednak to się

zdarza. Od czasu do czasu musi zjawić się ktoś, kto obala cały, istniejący do tej chwili System, udowadnia, że jest on przestarzały, wskazuje nowe drogi. Jak NaXe w 3485 tał, tak OTa i

NaVArTeS. To, oczywiście, nie bywa takie

łatwe — i rację miał też ThOReN. twierdząc, że Istota Rozumna nie potrafi od razu, bez sprzeciwu, przyjmować prawd, które godzą w uznany przez nią system wartości i w jej megalomanię. I

rzeczywiście bywały czasy, kiedy owi odkrywcy ginęli — razem ze swoją niepośadaną wiedzą. Ale to było dawno. I tutaj właśnie zawodzi mądrość ThOReNa. Mądrość? Czy tylko — strach?"

Rozumiał, że wystąpienie z teorią zaprzeczającą zasadom, na których — do tej chwili — wspierał

się cały System, nie będzie łatwe, będzie wymagać odwagi, zdecydowania, uporczywości. Ale miał tę

odwagę. I miał dowody. Nieodparte, takie, których zakwestionować się nie da. I jeszcze — mówiąc tym razem już słowami ThOReNa — wierzył w mądrość Rozumnych. W inteligencję tych jakże

kruchych istot, które zdołały opanować planetę, drążąc pod jej skalistą powierzchnią swoje miasta i komunikacyjne arterie, zbudować przemysł, udoskonalić technikę — stworzyć cywilizację zdolną przetrwać tak wiele, nawet: chwile szaleństwa, załamania i rozpacz swych własnych twórców. Ufał, że prędzej czy później przyjmą tę jego prawdę, właśnie dlatego, że jest jedyną prawdą. Wierzył w Rozumnych. Był przecie jednym z nich.

Myślał tak jeszcze zdążając długim, przestronnym korytarzem — pustym i cichym o tej porze — w stronę największej auli Elitarnej Wszechnicy, gdzie wkrótce miał rozpocząć dawno zapowiedziany

ostatni w tym erbi-thani wykład, mający stać się pierwszym publicznym wygłoszeniem jego nowej teorii, próbą siły posiadanych dowodów. Tak zdecydował i z tej decyzji był dumny:

pierwszymi słuchaczami odkrytej przez niego prawdy mieli stać się właśnie jego uczniowie, d,

którym w ciągu ostatnich erbi-thani przekazywał swą wiedzę, całą swoją naukę, doświadczenia i mądrość. Ufał im bardziej, niż mógłby ufać innym Wtajemniczonym, tym nawet, którzy — jak ThOReN — uważali się za jego przyjaciół. Z bocznego przejścia wysunęło się trzech Posługaczy; przygłębieni pod nazbyt dużym ciężarem popychali przed sobą wielki emitor prądów ReNThOTa.

Pochylili się bardziej jeszcze, skulili i zamarli, jak zawsze na widok któregoś z Wtajemniczonych.

FeLiXe minął ich nie reagując na to pokorne struchlenie; nie tracił się przecież czasu dla Śadnej z tych niższych Istot, z którymi tak czy owak Śaden Wtajemniczony nie mógłby się porozumieć, a

gdyby nawet

próbował, i tak by nic nie pojęli — zbyt wielka była między nimi przepaść. MoŜna im tylko wydawać określone i nieskomplikowane rozkazy. Tym razem nie miał im nic do rozkazania, więc zdziwiło go trochę, gdy poczuł, Ŝe ich napięta uwaga nie słabnie, choć juŜ ich minął, Ŝe towarzyszy mu dalej, tak samo czujna, napięta i skupiona, jak gdyby zwrócił się do nich z poleceniem. Ale to w końcu nie było takie istotne — miał znacznie ważniejsze sprawy od niepojętych zachowań tych pół-Istot, stojących przecież tylko o jeden szczebel wyŜej od Niezliczonych. Wirujący okrąg wielkiego chronometru

wskazał mu, Ŝe upłynęły al-thani, jakie dzieliły go od rozpoczęcia wykładu;

był juŜ przed aulą, dziwnie milczącą za przymkniętymi osłonami. Teraz — dopiero teraz — poczuł nagły niepokój. Znieruchomiał — napięta, czujna uwaga trzech Posługaczy, którzy trwali

niezmiennie w tym samym miejscu, w jakim ich pozostawił, towarzyszyła mu ciągle, było w niej coś nieznośnie męczącego, coś, co draŜniło go bardziej od obserwujących go ze wszystkich ścian tarcz inwigilatorów;

i draŜniło to takŜe, Ŝe nie potrafił tego określić, sprecyzować. A potem, nagle, zrozumiał: to była ich ciekawość.

Zdecydowanie wysłał rozkaz osłonom: rozsunęły się z cichym szelestem — aula za nimi była

zupełnie pusta. Nic jeszcze nie rozumiał. Nie zdołał nawet powstrzymać się od wejścia i w chwilę później tkwił juŜ samotnie w środku wielkiej sali, wciąż jeszcze bojąc się do końca zrozumieć, co moŜe znaczyć owa zupełna pustka, nieruchomy pod skupionym, oczekującym śledzeniem

inwigilatorów — innych, a jednocześnie tych samych, skoro zmieniały się tylko tarcze zawieszane na ścianach, podczas gdy kaŜdy impuls odebrany ich opalizującą powierzchnią przenikał do tej samej aparatury centralnej. A potem, bardzo wolno, do jego świadomości zaczęła docierać prawda. To

było jedyne, z czym się nie liczył, czego nie przewidywał i z czym — teraz właśnie — przychodziło

się zmierzyć. Milczenie. Obojętność. Kiedy się decydował na walkę ze swoim światem, kiedy podjął ryzyko głosu odkrytej prawdy, nie przypuszczał na chwilę, że będzie to właśnie to.

Niczego nie musiał udowadniać, nikogo przekonywać, bo nikt nie chciał podjąć dialogu. I ThOREN nie miał racji:

nikt nie zamierzał go zniszczyć, zabić czy torturować. Istoty Rozumne (czy te ich Przywódcy — ale to w końcu znaczyło tyle samo) postanowiły po prostu go nie wysłuchać.

Nie przyjął jego prawdy — nie przyjął jej nawet na **tyle, aby** ją zwalczać.

Nie wiedział, jak znalazł się znów w korytarzu, kiedy opuścił aulę. Posługaczy nie było — pozostało tylko wspomnienie ich uwagi, skupionej ciekawości idącej **za nim** jak światła inwigilatora; oni wiedzieli już wtedy, **wyczuwali** to, co się stanie, w ten swój prymitywny sposób półrozwinętych Istot, odbierających otoczenie za **pomocą** uczuciowych zmysłów, bardzo rzadko — rozumem. **To tylko** on. Wtajemniczony, w pełni zasługujący na swoje miejsce w społeczeństwie Rozumnych, nie

przeczuwał niczego. To był ten sam korytarz, tylko że teraz strop zdawał się obniżyć, światła były przygaszone — a może tylko jemu tak się wydawało. Niepewnie szukał drogi w gęstniejącej

ciemności, echo zbudzone którymś z jego gwałtownych poruszeń potęśniało, tłukło się między

ścianami, zdawało się go gonić jak zbliżająca się kamienista lawina. Przyspieszył, echo szło za nim grzotem, rosnącym, przelewającym się pod nawisem sklepienia, póki — rozdygotany — nie dopadł

wreszcie wyjścia.

Miał je otworzyć, kiedy w półmroku zamajaczyła niewyraźna sylwetka. Zatrzymał się w swojej

bezsensownej ucieczce — tamten, stojący na jego drodze, poruszył się nieznacznie i po tym ruchu mógł go dopiero poznać: to był ReTaNo, najmłodszy z jego uczniów, niecały erbi-thani

uczęszczający na prowadzone przez niego wykłady. ReTaNo, zawsze jak gdyby trochę zastraszonej,

mniejszy, drobniejszy od innych i — jakby speszony tym brakiem wzrostu — kulący się jeszcze

bardziej, ilekroć FeLiXe wzywał go do odpowiedzi. A jednak znalazł w tej swojej niepewności dosyć odwagi, uporczywości czy te siły, żeby być tutaj — wbrew temu, co zastraszyło innych, co ich zmusiło do zamknięcia swojej wrogości czy może tylko — swojego posłuszeństwa wszystkim siłom, które

stały na straży stworzonego Systemu, Systemu i USTAWY, siłom mającym obronić je przed prawdą.

śaden z nich się nie ruszył i śaden nie odezwał — stali naprzeciw siebie w półmroku rozrzedzonym blaskiem podglądających to ich spotkanie inwigilatorów — a przecież FeLiXe odczuł tę

niespodzianą obecność jak nową otuchę i jego własna reakcja na pierwszą napotkaną przeciwność wydała mu się

przesadzona i śmieszna. Był teraz znowu spokojny, nieugięty — jak w owej chwili, gdy odkrył prawdę, gdy zdecydował, że będzie o nią walczył. Jak w rozmowie z ThOREnem.

Już znów się nie bał. Wierzył, że wygra: ma przed sobą długą i trudną drogę, ale kiedyś wreszcie zdoła zmusić Rozumnych, aby go wysłuchali — chociażby tylko po to, by to, co im objawi, wyszydzić i odrzucić. Tylko że Śadnej prawdy w nieskończoność odrzucać się nie da, tak jak nie można — bez końca — przeczyć oczywistym dowodom. Więc kiedyś ich przekona, chociażby nawet miał zwyciężyć na

to cały czas, jaki został mu przeznaczony. Kiedy tak myślał, usłyszał własny głos, mówiący do nikogo, a jednocześnie — do wszystkich: nieruchomego ReTaNo, zastraszonego ThOREna i do tych, którzy nie chcieli, albo bali się go wysłuchać:

— To jeszcze nie jest koniec. **To** dopiero początek.

Postanowił swoje odkrycie ogłosić, upowszechnić. Opracowany na osiemnastu zwojach memoriał zawierający niezbite argumenty poparte wynikami przeprowadzonych badań wysłał na walne zgromadzenie Kolegium Wtajemniczonych, drugi, nieznacznie tylko krótszy. Radzie Wszechnicy;

kilkaście spopularyzowanych wyciągów do wszystkich naukowych periodyków, które się jakoś

liczyły. Oczekiwał represji. Ale nic się nie działo. Rada Wszechnicy milczała, jak gdyby nigdy nie otrzymała zabronionych USTAWĄ materiałów, Kolegium nie postawiło go w stan oskarżenia; po

prostu okresowe walne zebranie wcale się nie odbyło. A potem kolejno zaczęły wracać opracowania wysłane do periodyków. Bez komentarzy. Albo z krótkim i suchym uzasadnieniem odmowy: brak

mocy produkcyjnych, znane braki surowców uniemożliwiają opublikowanie tych, niewątpliwie interesujących hipotez...

Ogarniała go niespodziana bezradność — miał uczucie, jak gdyby się zapadał; tak ponoć czarne

wiry piaskowej burzy potrafią wessać każdy przedmiot i każdą żywą istotę, jaka znajdzie się na ich drodze. Zapadał się w milczenie, w tę obojętność, miotał się w niej tak, jak ktoś grzęznący w

ruchomym, czarnym piasku, wciągany nieuchronnie w rozciągającą się pod nim próżnię. Może

dlatego nie zauważył, że z wolna wokół niego powstawać zaczęła pustka — głucha i ciemna,

właśnie jak ta, która wypełnia wnętrza piaskowych wirów. Przyjaciele, znajomi zaczęli odsuwać się od niego, inni Wtajemniczeni mijali go pośpiesznie, zawsze teraz nadmiernie czymś zajęci, zbyt zaabsorbowani, by znaleźć trochę czasu, nawet

na całkiem błahą i nieważną rozmowę. Poruszał się w tej pustce coraz mniej pewnie — już spłoszony, choć jeszcze nie zrezygnowany, milczenie otaczało go coraz daśniej, bardziej nieprzeniknionym kręgiem, to było tak, jak gdyby przestał istnieć dla wszystkich sobie podobnych — i tylko coraz częściej zdarzało mu się czuć na sobie skupioną, zachłannie oczekującą czegoś ciekawość któregoś z Posługaczy, dla których zagrożenie Wtajemniczonego, jego upadek — mogły na krótko stać się wydarzeniem. Nadchodziła pora wstrząsów planetarnej skorupy, lawin i kamieniospadów. Wszechnica stawała się cicha i pusta, po długich korytarzach, po mrocznych przejściach snuli się jeszcze tylko nieliczni Posługacze wykonujący jakieś ostatnie prace, mające zabezpieczyć gmach i aparaturę na okres przymusowej bezczynności. FeLiXe był chyba jednym z ostatnich Wtajemniczonych opuszczających Wszechnicę;

jak zawsze, jak za każdym razem przed ostatecznym zamknięciem programu, udał się do gmachu Rady, by sprawdzić rozkład swoich zajęć w następnym erbi-thani. Nie znalazł swego imienia — ani w zestawie zajęć obowiązkowych, ani w wykazie wykładów pomocniczych; przez chwilę nie chciał w to uwierzyć, sprawdził raz jeszcze i znowu — nie pojmując — wpatrywał się w wykazy, jak gdyby jeszcze wierzył, że mógł się tylko mylić, że to nie może być tak bezdusznie, tak bezsensownie proste. Nie mylił się, nie było go istotnie. W jednej chwili, zwyczajnie i bez zbędnych oświadczeń pozbawiono go tej niesprecyzowanej, a przecież dość istotnej ochrony, jaką jego badaniom dawała przynależność do kręgu wąskiej elity, do tych nielicznych, którym — częściowo przynajmniej — nietykalność gwarantowała USTAWA. Od tej chwili przestawał być wybranym, był tylko jednym z wielu Wtajemniczonych, których działania nie mogły być oceniane przez Radę (Kolegium Wtajemniczonych nie miało już tak szerokich uprawnień), którzy — jak Posługacze, jak każdy z Niezliczonych — podlegali nieograniczonej władzy sprawowanej przez Strażników USTAWY. Wiedział, że teraz — prędzej czy później — zjawia się i u niego. Nawet wolałby, żeby to było prędzej. Czekanie zaczynało mu ciążyć, wolałby już rozprawę, która — choć stanowiła realne zagrożenie, dawała przecież jedyną, niemożliwą do osiągnięcia innymi sposobami,

okazję wypowiedzenia wreszcie tej całej jego prawdy, którą tak długo przemilczać był zmuszony. I choć tę prawdę miał po raz pierwszy odsłonić jedynie przed nieŚyczliwością kilku wytypowanych na rozprawę ekspertów, przed nic nie rozumiejącymi, spędzonymi dla uczestniczenia w parodii sądu, kilkuset Niezliczonymi i wrogo nastawionymi StraŜnikami, wolał to od milczenia.

Gdzieś, na dnie świadomości, kołatała myśl, Őe moŐe chociaŐ jedną ze zgromadzonych tam Istot Rozumnych zdoła — jeśli juŐ nie przekonać, to choćby zaniepokoić na tyle, Őeby starała się obalić jego dowody i jego argumenty, a to znaczyło, Őe zmusi ją do myślenia, do czegoś więcej niŐ pokorne i niewolnicze trzymanie się aksjomatów USTAWY. A to juŐ mogło stać się załáŜkiem zwycięstwa.

Trudniejszego, niŐ sądził początkowo, mającego przyjść kiedyś, moŐe za wiele tał, kiedy jego samego nie będzie juŐ wśród Őywych, ale przeciwŐ — zwycięstwa. Więc czekał. Wiedział, Őe Oni przychodzili najczęściej przed nocą, w ciągu tych kilkudziesięciu thani gęstniejącej ciemności, gdy atawistyczny niepokój przed mającym grozić prawie połowę tał niebezpieczeństwem wprawiał w napięcie kaŐdą z Rozumnych Istot, zmniejszając jej odporność, czyniąc bardziej podatną na rozpacz i na strach. Wiedział, Őe to jest pora wybierana przez StraŜników najczęściej, właśnie dlatego, by mogli przeciwnika (czy teŐ — swoją ofiarę) ugiąć najłatwiej, przerazić i zaskoczyć. Więc teŐ obiecał

sobie, Őe zaskoczyć się nie da. Postanowił — wszystkimi dostępnymi środkami — bronić się przed znuŐeniem, nie pozwalając sobie na nocne odrętwienie i wypoczynek wcześniej, aŐ wtedy gdy minie czas StraŜników.

Przez osiemnaście thani zbliŐającej się nocy nie wyłączał swych zmysłów — pracował, czekał. Przyćmione światło padało na rozwinięte zwoje jego pracy, głęboka cisza drętwiejącego w półsennym znieruchomieniu miasta rozlewała się w coraz to szerszy krąg, w tej ciszy kaŐdy odgłos brzmiał przesadnie ostro; szelest osuwających się zwojów wydawał się chwilami zgrzytliwym sykiem otwieranych przemocą, wbrew woli właściciela, wejściowych osłon, stuk nieostroŐnie potrąconego

przedmiotu rozlegał się jak strzał.

ToteŐ nagły sygnał radarofonu poraził go jak iskra. Przez chwilę wydawało mu się, Őe to pospieszny łomot nadchodzących StraŜników, dopiero gdy ochłonał z pierwszego zaskoczenia, zaczął pojmować, Őe tam, w rozległym mroku otaczającego go miasta, jest jakaŐ Rozumna Istota pragnąca z nim kontaktu. Włączył radarofon, lecz jego tarcza nie rozświetliła się

zielonkawym światłem. Wtedy, w nagłym rozczarowaniu, pomyślał, że nie ma tam nikogo, a brząca przed chwilą sygnalizacja została spowodowana zwarciem prądu w którymś z wielu obwodów; zdarzało się to czasem, szczególnie o tej porze, przed nocą. Poczł gwałtowny szal, tak dojmujący, że zdumiała go intensywność tego uczucia. Zawahał się na moment i ta chwila, zanim wyłączył milczący ciągle aparat, wystarczyła: wyczuł czyjąś obecność. Znieruchomiał i czekał — i tamten czekał także, niepewny czy spłoszony, może po prostu: przerażony własną odwagą, czekający na coś — jakąś zachętę? — upewnienie? — czy prościej: pierwsze słowo. To, że postarał się wyłączyć ekran, uniemożliwił rozpoznanie siebie, znaczyło, że się **boi**. Ten strach mógł w każdej chwili sprawić, że przerwie połączenie i ciemność wokół stanie się znowu milczącą, groźną pustką. W odruchu płynącym ze świadomości swego osamotnienia Felixe krzyknął w ciemny i martwy ekran: — Kto jesteś? Mów!

Tamten wahał się jeszcze, ale to było tylko wahanie, nie strach. A potem nagle przemówił — gwałtownie, gorączkowo, i czuło się w tym to samo aż bolesne napięcie, jakie przed chwilą porażało w jego milczeniu:

— Ukryj się, profesorze... Uciekaj. Jesteś... Strażnicy mają cię już w swoich wykazach. Grozi ci...

Profesorze! Nikt jeszcze nie zdołał wygrać ze Strażnikami USTAWY... Nieruchomo wsłuchiwał się w ten głos — wysoki, młody, dźwięczący jakąś rozpaczą. Znajomy? Zapytał cicho, spokojnie, może tylko z odrobiną zdziwienia:

— ReTano? — i kiedy odpowiedziało mu jedynie milczenie: — To ty, ReTano? Powiedz! Ale tamten

milczał uparcie i w tym milczeniu Felixe wyczuł nagłą determinację; przestraszył się, że nieznanemu rozmówcy przerwie połączenie, więc — nagle rezygnując zupełnie z indagacji — powiedział powoli i łagodnie:

— Dobrze. Nie muszę wiedzieć. Dlaczego mnie ostrzegasz?

— Czy nie rozumiesz? Twoje imię jest zapisane w Czarnych Wykazach. Zostałeś sam. Nikt ci już nie pomoże, nikt nie zechce... nie zdoła obronić cię przed Wykonawcami USTAWY. W każdej chwili u ciebie mogą się zjawić Strażnicy...

— To wiem.

— Więc na co czekasz? Wiesz przecież, jak kończą... Nieprzystosowani...

— Nie jestem Nieprzystosowany.

— Dla nich — tak. Jesteś. Musisz uciekać. Musisz.

Nie wiedział, że można czuć się aż tak znużonym, że wszystko nagle może stać się nieważne, obojętne, jakby nie mogło go już w żaden sposób dotyczyć; że można być aż tak zubożniętym na własny los. Powiedział z nieświadomą goryczą:

— Dokąd mam uciec? Nie można uciec od Rozumnych, ReTaNo, jeśli się jest jednym z nich... A jednak po tej nocnej rozmowie poczuł się jakby od nowa pokrzepiony. Bo może wszystko, co myślał i w co wierzył, nie było tak zupełnie pozbawione sensu, jeśli wśród otaczających go Rozumnych Istot mogły się znaleźć i takie

Jak ReTaNo (czy też kim mógł być jego nocny rozmówca), zdolne dla pewnych wartości, uznanych za nadrzędne,

., przewyciężyć swój strach.

\ Jakiś ślad tego nastroju odnalazł w sobie po nocnym odrętwieniu i razem z nowym dniem zwiększała się otucha;

zbliżał się znowu początek erbi-thani, ten czas do pierwszych zajęć chciał teraz wykorzystać:

odwołać się do Rady, wnieść po raz drugi swoją sprawę na obrady Kolegium Wtajemniczonych; ktoś przeciwko go wysłucha, zmusi ich wszystkich, zobowiąże do tego. Nie wiedział, jak to zrobić, nie miał

ładnego planu. Ale obrzydła mu całkowicie bezczynność, chciał znowu działać. Zawezwał bolid i —

znacznie spokojniejszy — włączył się swym pojazdem w poranny ruch uliczny. Po raz pierwszy od dawna nie czuł się zagubiony ani wyobcowany; w gęstwinie mknących pojazdów był jedną z wielu

Istot Rozumnych zaprzątniętych codziennymi sprawami i zdążających ku jakimś swoim celom.

Przyspieszył ruch bolidu i — wymijając kilka bardziej powolnych — skręcił w szeroką, okrążającą miasto ogromnym łukiem arterię komunikacyjną; tu tylko z rzadka przemykał inny bolid, mógł jechać szybciej. Ale nie zdążył się jeszcze maksymalnie rozpędzić, kiedy z bocznego toru wyskoczyły dwa czarne, poruszające się z błyskawiczną szybkością, pojazdy Służby Bezpiecznego Ruchu,

zajeżdżając mu drogę.

To zdumiało go tak bardzo, że niemal nie wbił się całym swoim rozpędem w lśniący i długi bok czarnego bolidu. W ostatniej chwili wydał konieczny rozkaz, hamując w odległości zbyt małej na to, by można było nazwać ją bezpieczną. Wtedy z tamtych — dotąd ciemnych i zlewających się z mrokiem — pojazdów trysnęły smugi twardego i jaskrawego światła, to światło uderzyło w niego, wiążąc go w swoim centrum i rażąc prawie do bólu.

Z otwartego bolidu wyskoczył rosły Strażnik. Szedł w kręgu tego blasku, ledwie widoczny, rysujący się tylko niewyraźną sylwetką; nie od razu FeLiXe zdał sobie sprawę, że powoduje to antykontaktowa osłona, jaką się tamten otoczył. Dopiero gdy był blisko i gdy myśli FeLiXe odbiły się bezradnie od jej nieprzenikliwej powierzchni, niezdolne rozpoznać Śadnego z jego uczuć, nawiązać — choćby najbardziej powierzchownego — porozumienia, zrozumiał.

— Przekroczyłeś przepisy o ruchu ciągłym bolidów w korytarzach okrężnych.

— Nie przekroczyłem przepisów.

— Przekroczyłeś przepisy o ruchu bolidów w korytarzach okrężnych. Jest tak, jak d mówię. Wiem lepiej. Więc nie chodziło o Śadne przekroczenie, to był jedynie pretekst. FeLiXe po raz drugi

spróbował nawiązać kontakt z osobowością Strażnika i znów się nie udało; to było tak, jakby odbijał się od gładkiej, twardej i śliskiej ściany. Tamten zbliżył się jeszcze; ciemna, powiększona przez jarzące się światła sylwetka groźnie nachyliła się nad otwartym bolidem, den, rozłamany w podwójnej strudze blasku, wpelzł aż na boczne ściany korytarza-arterii zlewając się z otaczającą demnością; FeLiXe czuł zachłanną i nieśwycziwą penetrację jego skupionych myśli; on sam nie miał się czym osłonić.

— Ach, tak... — powiedział Strażnik wolno (i to było, jakby potwierdzał coś, co wiedział już

przedtem, a nie jakby się dziwił). — Ty jesteś tym szaleńcem, który śmie twierdzić, że Śyde mogło powstać bez Formy Absolutu... Chdałeś zniszczyć USTAWĘ...

Nie protestował — nie było zresztą po co. Cokolwiek by powiedział, jakkolwiek by się bronił, Strażnik i tak znał całą prawdę. Tę prawdę, która — jak nic i nigdy dotąd — obdąsała FeLiXe.

— Pojedziesz z nami.

— Dokąd?

— Zobaczysz. Zbytńia dekawość jeszcze nikomu nie

wychodziła na dobre. A najmniej — tobie.

Nie mógł udekać — czarne bolidy zamykały mu drogę,

więziły wdąŜ w stoŜku światła. Zresztą nie było dokąd

udec w tym świede zamkniętym raz na zawsze, otoczonym

przez Hermetyczny Krąg... CzyŜ nie powiedział — nie tak

dawno, tej nocy: nie da się umknąć Rozumnym, jeśli się jest

jednym z nich?

Ruszył posłusznie, pilotowany przez straŜnicze bolidy. Ani

na chwilę nie wypuszczając spomiędzy siebie jego pojazdu,

zawróciły rozpędzając się z miejsca do niesłychanej szybkości; z niskim wyciem sygnału mknęli

przez miasto nagle opustoszałą arterią; kiedy nadlatywali z pulsującej pasmami światel ciemności, normalny ruch zamierał, kaŜdy, jak mógł, usuwał im się z drogi.

Minęli centrum, pogrąŜając się w coraz to węższe, mroczniejsze korytarze, za nimi pozostawało

miasto ze swoim zwykłym ruchem i codziennymi sprawami; FeLiXe po raz pierwszy przeraził się

naprawdę: nie umiał teraz nawet wyobrazić sobie tego, co moŜe go spotkać, więc bał się — jak

kaŜda z Rozumnych Istot boi się nieznanego, tego wszystkiego, czego nie umie przewidzieć, przed czym — nie znając — nie potrafi się bronić. Ten lęk trwał dalej, kiedy bolidy stanęły przed niskim wejściem, wyglądającym na wlot do ciasnego tunelu — i jeszcze później, gdy dwaj inni StraŜnicy

przejęli go od tamtych i prowadzili milcząc wąskimi i ciemnymi przejściami tajemniczego gmachu. A potem kiedy myślał juŜ, Őe ta ciemność nie będzie miała końca, rozsunęły się przed nim osłony

niewidocznego wejścia i nagle — pchnięty z tyłu — znalazł się w wielkiej i pustej sali; od stropu po najjaśniejszy zakątek wypełniało ją oślepiające światło. Osłony zatrzasnęły się za nim, był sam.

Ogrom i światło przytłaczały, poczuł się nic nie znaczący, niewaŜny, zdawało mu się, Őe ściany

przywalają go swoim ogromem. Nie wiedział, Őe to właśnie przestrzeń i światło mogą w Istocie

Rozumnej tak potęgować lęk.

— Teraz się boisz.

Głos szedł znikąd, a jednocześnie zewsząd: ze ścian i stropu, spod łuków i rozległej podłogi.

PotęŜniał, zwielokrotniony echem, przytłaczał odbierając resztę odwagi.

— Kim jesteś?

— Jestem Sprawiedliwością.

— Kłamiesz. Sprawiedliwości nie ukrywa się przed tym, komu ma być wymierzona.

— Nie kaŜdy godny jest ujrzeć Sprawiedliwość.

— Jestem Istotą Rozumną...

— Nie. Sam siebie wykreśliłeś ze społeczeństwa Rozumnych.

— Dlatego, Ŝe znam prawdę?

— Dlatego, Ŝe wystąpiłeś przedw USTAWIE.

— I to wystarczy, by uznano mnie winnym? **Bez** wysłuchania Ŝadnego z mych argumentów?

— Zostałeś juŜ osądzony.

— Bez sądu?

— Przyznasz się, to wystarczy.

— Do czego?

— Przyznasz się do wszystkiego, co będzie nam potrzebne.

— Nam? Sam się teraz zdradziłeś. Jesteś głosem Przywódców, ich sługą, ich niewolnikiem. **Jak** mógłbyś więc być Sprawiedliwością!'

— To, kim jestem, nie moŜe mieć dla dębie najmniejszego znaczenia. Przyznaj się lepiej.

— Do czego?

— Prowadziłeś badania zabronione USTAWĄ.

— Odkryłem prawdę.

— Kłamiesz. Szukałeś tylko sławy. Ŝyde nie moŜe istnieć nigdzie poza Białą Planetą.

— Istnieje.

— Nie istnieje, bo tak stanowi USTAWA.

— Czy sądzisz, że USTAWA może kreować prawdę?

— Tak. Bo z rozkazu USTAWY ty swe twierdzenia odwołasz. Przestaną wtedy istnieć.

— Nie **odwołam**.

— Mało znasz jeszcze siebie. Odwołasz prędzej, niż myślisz. Wystarczy kilka dni, a będziesz nawet myślał tak, jak my tego chcemy.

Głos rozplątywał się. dął, jak gdyby wsiąkał w światło, które nabrało teraz jeszcze okrutniejszego, intensywnego blasku. A potem znów przygasło. FeLiXe usłyszał znowu głos mówiący do niego, tylko że teraz szedł on z jednego miejsca, był zwykłym głosem jednej z Rozumnych Istot:

— Przyznaj, że wszystko, co głosiłeś dotychczas, było nieprawdą, a twoje niby badania są oszustwem i kłamstwem.

— Nie.

— Przyznaj, że Syde na Błękitnej Planecie nie istnieje i nie istniało, że sam to wymyśliłeś. że nie ma i być nie może innych Rozumnych Istot.

— Nie.

— Przyznaj się. Może wtedy zmniejszymy ci karę. To już był tylko Strażnik, tak tępy i uparty mógł być jedynie Strażnik lub Wykonawca USTAWY. Tym razem FeLiXe nie próbował nawet nawiązać z nim kontaktu: tak jak poprzednio jego rozmówca otaczał się osłoną. Po raz trzeci powtórzył:

— Nie.

— Więc nie odwołasz, nie wyprzesz się swoich błędów?

— Nie mogę wyprzeć się prawdy.

Tamten poruszył się niecierpliwie i jego tępa, rosnąca wściekłość uderzyła w FeLiXe ponurą falą.

— Zastanów się. Będziesz cierpieł. „Przecież nie mogę cierpieć” — pomyślał ze zdumieniem; to słowo nie budziło w nim nawet śladnych skojarzeń, jak długo był, jego ciało nie знаło fizycznego uczucia, które nazywano

bólem. Ta groźba wydawała się całkiem bezsensowna: nie umiał, nie potrafił...

— Tak ci się tylko wydaje. Teraz już możesz. Nie należysz do Wtajemniczonych.

Chciał spytać: „Kim więc jestem?” — ale nie zdążył, gdy w tej samej chwili poczuł, że jego strefa ochronna eksploduje od wewnątrz, rozpęka się i rozchyła, opada jak zbędna łuska, pozostawiając

go zupełnie bezbronny. że ciało nie jest już jego własnością i tamten może z nim zrobić wszystko, co tylko zechce. I zaraz ból — tak obcy dotąd, a przecież rozpoznany natychmiast, gdy się pojawił

— uderzył w niego gwałtowną, ślepią siłą, choć Strażnik nie poruszył się nawet, obojętny, daleki i może zbyt leniwy, by wykonywać ten zbędny przeciwny ruch.

— Odwołasz?

Połykliwa posadzka zbliżyła się do niego — czy tylko on

upadał niezdolny znieść tego, co działo się z nim teraz.

Przez chwilę, przez krótką chwilę, nim uderzenie

o płaszczyznę posadzki zdołało go zamroczyć, pomyślał, że

tego nie wytrzyma, potwierdzi, wyprze się swojej wiedzy.

A jednak milczał, podtrzymywany przez niespodzianą

zawziętość, z której siły — aż dotąd — nie zdawał sobie sprawy.

Ciemność zamykała się nad nim, odchodził od własnego ciała, leżącego bezwładnie jak coś obcego.

Wtedy ból ustał. Usłyszał znów głos Strażnika nadchodzący z wirującego mroku — zewsząd i znikąd

— jak przedtem głos tamtego, który nazywał siebie — Sprawiedliwością.

— Odwołaj. To przecież nie ma sensu. Nic nie uzyskasz, jesteś sam przeciw wszystkim. Nawet twoi uczniowie i przyjaciele wyparli się już ciebie.

— Nie wierzę, aby wszyscy...

— Tak, wszyscy. Czy wiesz, kto doniósł nam o tobie? ThOReN. I kto de wydał? ReTaNo.

— ReTaNo?!

— Sam widzisz. Twój upór nic d nie da. Przyznaj, że Syde na Błękitnej Planecie było twoim wymysłem! Niczym więcej.

— Nie.

Był sam, był tak okrutnie, nieodwołalnie sam. I zaczęło

brakować mu już siły, by bronić się przed bólem, przed nową falą bólu nadchodzącego z mroku. Był znowu bliski całkowitego załamania. I wtedy nagle pomyślał po raz pierwszy o Błękitnej Planecie nie tylko jak o własnym odkryciu, lecz jak o innym globie istniejącym realnie w mroźnej pustce Kosmosu.

Wyobraził ją sobie i choć to wyobrażenie, oparte tylko na naukowych przesłankach (bo nigdy jej nie widział i nigdy nie miał zobaczyć), mogło być dosyć odległe od rzeczywistości, uwierzył, że ona jest naprawdę taka: błękitne morza deklęgo związku tlenu, rozległe lądy rozciągające się pod

bezchmurnym niebem, przestrzeń i światło zasiedlone przez Rozumne Istoty, zdolne tęsknić i pragnąć, dążyć wytrwale ku raz obranym celom, wierzyć i trwać wiarę, rozpaczać i równie intensywnie odczuwać radość jak on sam. Z wszystkiego, co aż do tej chwili nadawało sens jego życiu, pozostało to tylko: zwiędnięta Błękitnej Planety. Więc nie mógł go się zaprzeczyć: wtedy nie pozostałoby mu już nic.

— Odwołasz?

— Nie.

Strasznik, zdumiony, milczał przez długą chwilę; zbliżył się chyba, bo jego den padł groźną i postrzępioną plamą na świecąca, posadzkę tuż koło leżącego FeLiXe. W jego milczeniu była nagła bezradność, więcej: był przestraszony, jego niepokój wyczuwało się pomimo utrudnionego kontaktu.

Bał się FeLiXe, drugiej Rozumnej Istoty, niepojętej, skoro jej upór i wytrwałość przekraczała jego, płynącą z doświadczenia, zdolność pojmowania? Tego uporu i tej nieznannej siły, która sprawiała, że

— pokonany — pozostał nieugięty? Czy może prościej — wyłącznie gniewu swych własnych mocodawców, których rozkazów wykonać nie potrafił? W tym zaleźnieniu był w pewien sposób śmiały, nawet jego nienawiść budziła politowanie. Starając się podsydź swoją słabnącą z każdą chwilą zawziętość, powiedział:

— Zobaczmy, czy to tak się wytrzymaś... Zimno. Bijące w każdą włókno jego udręczonego ciała zimno — sześć stopni OXeNTiErNa, być może nawet mniej. To, przed czym śmiadna z Rozumnych Istot nie umiała się bronić, początek umierania... Jak bardzo trudno jest znosić tyle bólu. Tracił przytomność, wszystko, co do tej pory było nim samym, FeLiXe, rozplątało się, zacierało;

przestawał czuć i istnieć. Wtedy — jakby to mogło utrwalić jego przemijający ślad w świecie, który przez jakiś czas był także jego światem, powiedział — bardziej do siebie niż do

zachłannie oczekującego na jego słowa Strażnika:

— Błękitna Planeta... Jest, istnieje. I wiem, że Rozumne życie istnieje na niej także. Jeśli uwierzycie... jeśli kiedyś nasz gatunek nawiąże z nimi kontakt... Chciał umrzeć jak TeNoHiInLAN

—
pozostawiając po sobie bohaterską legendę, swoje ostatnie przesłanie, które jakiś nowy NaVArTes będzie mógł ponieść dalej, oświecić. Spadał z wysoka w czarną, dźwięczącą pustkę — wszystko stawało się lodowatą ciemnością, spokojem, uciszeniem. Pomyślał jeszcze, że tak dla niego najlepiej. Był teraz niedosiętny, Strażnicy i Wykonawcy nie mogli mu nic zrobić — był wolny od wszystkiego.

Ale nie umarł. To byłoby zbyt proste, może — zbyt łatwe, łatwiejsze w każdym razie niż żyć po wszystkim, czego się był dowiedział o Istotach Rozumnych, o tym gatunku, do którego należał i on.

Kiedy się ocknął, leżał w tej samej sali, otoczony przez pięciu, oczekujących w milczeniu, Strażników USTAWY. Światło tym razem nie było już tak ostre, znikły zimno i ból. Ale to jeszcze wcale nie było równoznaczne z nadzieją. Chciał wiedzieć, co go czeka. Zapytał:

— Kiedy odbędzie się sąd nade mną? Któraś z anonimowych, osłaniających się przed nim tak

dokładnie Istot poruszyła się lekko; jej głos, obojętny i urzędowy, typowy dla Strażników, mógł być właściwie głosem każdego z nich.

— Już jesteś osądzony.

— Nie było sądnej rozprawy.

— W przypadkach zagrażających społeczeństwu Rozumnych rozprawa nie jest konieczna.

— Nie dano mi się bronić.

— Nie masz nic na swoją obronę. I nikt nie zechciałby jej słuchać. Nie ma dla ciebie miejsca w miastach Rozumnych Istot. Nie jesteś jednym z nas.

— Co chcecie ze mną zrobić?

— Dla takich jak ty powstały Rezerwaty. Tam jest ich miejsce, wracają na Powierzchnię. Są

Nieprzystosowani.

— Kto wydał taki wyrok?

— My.

Kiedyś, w erze, którą nazwano Okresem Fanatyzmu, umierało się w imię prawdy — teraz Społeczeństwo Rozumnych pozbywało się niewygodnych Prawd, tak jak pozbywało się nie dających się już przetworzyć odpadów ze swoich miast — wyrzucając je na Powierzchnię. Jakiś Śal — kłujący i nieważny — przemknął po świadomości FeLiXe i zaraz zgasł, roztopił się w goryczy i wszechogarniającym znużeniu. Zdrętwiały i obojętny na wszystko pozwolił się potrącać i popychać — Strażnicy prowadzili go ciasnym korytarzem, potem wepchnięto go do wielkiego bolidu:

wieźli go dokądś, nie uważał na drogę, było mu wszystko jedno.

Mknęli przez nie kończące się korytarze — nie myślał nigdy, że może ich być tak dużo i że te dalsze od zasiedlonych centrów są tak wąskie i kręte, tak zaniedbane; chwilami stropy nawisały tak nisko, że bolid z trudem przeciskał się pod nimi — popękane i kruche groziły zawaleniem.

Po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że opuszczone i zaśmiecone stertami dziwnych odpadków staroświeckie arterie kierują się ku górze; zbliżali się widocznie ku wyjściu na Powierzchnię. Bolid zatrzymał się na jedno al-thani, **FeLiXe** usłyszał wysoki, wibrujący na samej granicy słyszalności i przenikliwy dźwięk, jakby pękała napięta, twarda powłoka — dziwny i niepodobny do

czegokolwiek, co słyszał w swoim Śyciu. Ten dźwięk

zdumiał go tak bardzo, że nie potrafił powstrzymać się od

pytania:

— Co to?

Któryś ze Strażników powiedział odruchowo:

— Nie wiesz? Właśnie otwiera się Hermetyczny Krąg... — I z nagłą, niczym nie usprawiedliwioną złościwością dorzucił: — Dla ciebie po raz pierwszy i ostatni zarazem. Bo stamtąd się nie wraca...

Jeżeli jest się Nieprzystosowanym jak ty.

To wiedział i bez niego; wiedział to także, o czym prawdopodobnie Strażnik nie miał pojęcia: że owa nieprzenikliwa strefa napięcia, którą — na rozkaz Przywódców — oddzielono od Społeczeństwa

Rozumnych wszystko, co niepokorne, niepodległe, nie chcące ślepo podporządkować się ich władzy

i USTAWIE, kiedyś w okresie kształtowania się tego Społeczeństwa została zbudowana nie po to,

aby cokolwiek z niego wyizolować, lecz by chronić podziemne miasta od realnego

niebezpieczeństwa grożącego im z zewnątrz. Ale zamilczał;

wszystko, co mógłby im jeszcze powiedzieć, i tak nie miało

znaczenia.

Jakby był rzeczą, nie Rozumną Istotą, Strażnicy przekazali

go Służbie Hermetycznego Kręgu, a ci — Dozorcy

Rezerwatu, i Krąg zamknął się znowu, odcinając go na

zawsze od wszystkiego, co znał i znienawidził:

Społeczeństwa, jego USTAWY, cywilizacji i podziemnych miast. To, z czym się teraz miał zmierzyć, miało być całkiem inne; nowe i groźne, ale odmienne, i ta myśl była ulgą. Rozejrzał się wokoło; po raz pierwszy był na Powierzchni, widział jej rzeczywisty obraz, nie odbicie w ekranach. Była

przerastająca dla kogoś, kto znał — jak on — jedynie drążone pod litą skałą miasta. Z rzadka

wypiętrzająca się garbami zrytych erozją skał, kamienista pustynia rozciągała się monotonna

szarością pod niskim nawisem chmur, przemiatana gorącym, suchym wiatrem, nie oświecona ani jednym rozbłyskiem. Tylko piaskowe wiry zrywały się gdzieś gwałtownymi wykwitami głębokiej czerni, przesypując z miejsca na miejsce zwały odpadków, przez setki tal wyrzucane tutaj z podziemnego świata Rozumnych Istot, i tylko przygarbione, ulotne cienie jakichś nieznanych stworzeń przemykały, przytulone do gruntu, w półmroku u podnóża odległych, szarych skał. Patrząc na ten krajobraz FeLiXe. poczuł się nagle zgubiony, bezradny — ogarnęła go beznadziejność i rozpacz. W tej samej chwili nadleciało ku niemu niskie, ponure wyrie, niosące się daleko nad ucichłą powierzchnią głazów, śmieci i piasku — przerażające jak wszystko dookoła, zakończone przeraźliwym skowytom.

— Pospiesz się — ponaglił nieruchomy aś dotąd Dozorca Rezerwatu. — To stado warani. Tropią czarne gekkala, ale jeśli dostrzegą nas, zawrócą...

Jego strach — tak dobrze wyczuwalny — zdumiał FeLiXe. Z niedowierzaniem spytał:

— Debilne warani ?

— Nie. Dzikie warani — podstępne i drapieżne. To tylko te, które Rozumni zabrali pod powierzchnię, stały się z czasem debilnymi warani... Pospiesz się, mówię. Ponaglał całą drogę, dopóki nie znaleźli się u podnóża skał. Teraz, z niewielkiej odległości, widać już było wydrążony w nich szereg

niewielkich jam, do których dostęp zamykały zasieki z niezniszczalnych, durthalidowych kolców; te zasieki były jedyną chyba rzeczą, jaką Istoty Rozumne przeniosły ze swych podziemnych miast tu, na powierzchnię

— patrząc na to wszystko: te płytkie nory i broniącą dostępu do nich gęstwinę durthalidu, FeLiXe pojął nagle: to właśnie był Rezerwat.

W tej samej chwili ze wszystkich płytkich wgłębień zaczęły wypęłzać przygarbione, lękliwe cienie; skulone pomykały nad przemiatana porywistym wichrem płaszczyzną, przybliżając się z wolna do linii ogrodzenia, wreszcie przywarły do durthalidowych prętów, znieruchomiały —

FeLiXe poczuł nagle idącą od nich falę nieśyczliwości, nie — to była nienawiść, tak skupiona, tak intensywna, że cofnął się, jakby uderzył o jakiś martwy przedmiot.

— Dlaczego oni mnie?... — ledwie miał siłę pytać.

— Bo jesteś nowy. Obcy. Bo jeszcze nigdy nie bałeś się i nie nienawidziłeś jak oni... Bo do tej chwili było dla ciebie oszczędzone poznanie tego, co oznacza Rezerwat... Cofnął się znowu, ogłuszony bijącą

w

niego nienawiścią tych Istot. Kiedy tak patrzył, jedna z nich — silniejsza widać od innych, zaczęła się przepychać przez zwartą, milczącą ciŚbę, przewracając i odpychając tych słabszych dotarła

wreszcie aŚ do samych zasieków, uczepliła się ich, wparła w nie całym ciałem, zaskowyczała:

— Kim jesteś? PomóŚ mi, pomóŚ! Trafiłem tu przez pomyłkę. Wierzę w Absolut, zawsze wierzyłem w USTAWĘ. PomóŚ mi. Będę posłusznym sługą naszych Przywódców... Znam imiona tych, którzy ośmielają się wątpić w jedynie słuszne racje Społeczeństwa Rozumnych... Podam je wszystkie, mogę podać juŚ teraz: BeReNiTh, ThURb, SeAtOn...

— Kto to? — powiedział z trudem FeLiXe.

— Nieprzystosowani nie mają imion. Oznacza się ich cyframi...

— Mnie... chcecie takŚe?

— Nie ma Śadnych wyjątków. Twój numer będzie 12 841 632...

Byłby cofnął się znowu, gdyby się mógł poruszyć. Stał skamieniały, czując, jak porywisty, gorący wiatr miecie weń czarnym piaskiem; zdawało mu się, Śe mrok jeszcze zgęstniał, jak gdyby osunęły się niŚej zwały szaroczarnych chmur. Znad rozległej płaszczyzny doleciało go znowu zaciekle,

poszarpane przez wiatr, rozmyte oddaleniem wycie dzikich warani. Nagle jedna z tych słabszych,

odepchniętych przed chwilą i stratowanych przez tamcego Istot zaczęła się podnosić; nie zdołała tego dokonać i tak — wpółwyprostowana, ślaniająca się w mroku zaczęła wołać:

— Kimkolwiek jesteś, ty, który byłeś Wtajemniczonym — uciekaj. Uciekaj, zanim staniesz się taki jak my... Zanim Rezerwat sprawi, Śe przestaniesz być Rozumną Istotą. Zanim nauczysz się skomleć o

więcej stawy i zanim praca nad siły nie uczyni cię gorszym od debilnego warani. Uciekaj, jeśli...

Nie dokończył. Igła fioletowego blasku rozdarła mrok, uderzyła w majaczący nad piaskiem, usiłujący ciągle jeszcze podnieść się den, wołający do FeLiXe; Istota zatrzepotała

się nagle, a potem zwinęła, skurczyła i opadła płasko. Dozorca Rezerwatu obojętnie patrzył na

swoje dzieło; wciąż jeszcze trzymał broń.

To nie był strach — to był po prostu bunt wywołany tym wszystkim, na co patrzył, tym strzałem i tym poprzedzającym go krzykiem. Nie myślał. Rzucił się do ucieczki, niosła go rozpacz — bo ten zabity miał rację: tylko tak jeszcze mógł uratować to, co w nim pozostało z Istoty Rozumnej, tylko tak mógł

uchronić przed tym, co tu, na tej planecie, nazwało siebie Sprawiedliwością, tylko tak jeszcze — choćby przez kilka chwil — mógł zostać sobą. Wtajemniczonym, FeLiXe...

Jego ucieczka zaskoczyła Dozorcę (czy teŚ — Dozorców;

gdzieś przecieŚ musieli być jeszcze inni), bo zdąŜył znacznie oddalić się od zasięków, zanim zrozumiał, Őe rusza pogoń. Rozciągająca się poza nim płaszczyzna zaroila się ruchem, wypełzłymi nie wiadomo z jakich czeluści sylwetkami nierozpoznawalnych w tym mroku istot; moŚe to były Őyjące tu, na Powierzchni, stworzenia, a moŚe inni Nieprzystosowani, których Dozorcy uŚyli jako nagonki.

To było całkiem moŚliwe, a jednak owa myśl poraziła go tak zupełnie, Őe omal nie upadł. W nagłym olśnieniu pojął, Őe aŚ do chwili, w której ujrzał Rezerwat, łudził się jakąś bezsensowną nadzieją, Őe właśnie tu, na Powierzchni, najlepsze z Rozumnych Istot, te, które nie umiały przystosować się do ram bezmyślnego Systemu, zdołały stworzyć coś, co prawdziwie moŚna by nazwać

Spółczeństwem Istot Rozumnych. Wtedy jeszcze nie wiedział o Dozorcach, nie przypuszczał, Őe

System — pozbywający się tych, których nazywał Nieprzystosowanymi, zadbał i o to, by w

Rezerwacie, tak samo jak pod powierzchnią, nie mogła istnieć wolność. Więc nic nie mogło się

zmienić. Tutaj, tak samo jak w zamkniętych obwodem Hermetycznego Kręgu miastach Istot

Rozumnych, panowała nienawiść i strach. Strach i nienawiść. Jak gdyby te dwie cechy były

najmocniej związane z myśleniem Rozumnych Istot, jak gdyby okrucieństwo i bezsens wszystkich poczynań były jedynym, do czego te Istoty doszły swoim rozumem.

Zachwiał się; zaczynał tracić siły. Jego ucieczka była ucieczką donikąd — od pierwszej chwili

wiedział, Őe nie zdoła uratować niczego; nawet samego siebie. Miał tylko tę nadzieję, Őe zdoła

zginąć — Őe pozostanie tu, na rozległej, pustej i monotonnej pustyni i jego ciało — z czasem —

pokryje warstwa lotnego piasku. Őe zginie, zanim tamci zdołają go dogonić.

Gwałtownie tracił siły. Znów raz i drugi zachwiał się, wreszcie upadł. LeŚał bez ruchu, nie znajdując ich tyle, aby wstać; jego los zamknął się i dopełnił, było mu wszystko jedno. Kiedy tak myślał, usłyszał znowu nadlatujące z wiatrem, odległe wycie polujących warani; pomyślał, Őe byłoby dla

niego lepiej, gdyby drapieżne stado dopadło go pierwsze, zanim zdąŜy to zrobić idąca jego śladem

pogoń Rozumnych.

LeŜąc i czując, jak osypują się na niego niesione wiatrem drobiny czarnego piasku, zastanawiał się po raz ostatni nad gatunkiem owych myślących istot, którego częstką był przecieŜ takŜe on sam.

Nienawiść, okrucieństwo... I strach. Mylił się dotąd, sądząc, Ŝe wynikały one z bezduszości

USTAWY; przecieŜ Rozumni stworzyli swą USTAWĘ, nie odwrotnie... I gdyby jej nie było,

wymyśliliby coŝ równie w swym bezsensie przeraŜającego, bo zawsze znajdą się tacy, którzy będą

gotowi stworzyć coŝ mogącego stanowić udrękę dla innych, sobie podobnych Istot. A wiêc wszystko, w co wierzył kiedykolwiek, miało rozsypać się w proch, było tak nieistotne jak przemiatane porywami wichury ziarno czarnego piasku? Wiêc nie pozostawało mu nic? Właŝnie w tej chwili ostatecznej

rozpaczy przypomniał sobie, Ŝe istnieje coŝ jeszcze, Ŝe pozostała mu jeszcze jedna wiara, jedna nadzieja i pewnoŝć. Błękitna Planeta. I gdy to sobie przypomniał, uspokoił się i uciszył.

LeŜąc spokojnie, nareszcie wolny od lęku, pomyślał: „Być moŜe Ŝycie tu, na Białej Planecie, musiało stworzyć okrucieństwo, bezmyŝlnoŝć i ŝlepy upór, by w tych jakŜe trudnych — warunkach znaleźć w sobie doŝć siły, aby przetrwać. Ale tam, na Błękitnej, to inne Ŝycie, dla którego rozwoju doŝć było Ŝyciodajnych składników — jeŝli załoŜyc, Ŝe były nimi właŝnie związki tlenu i ŝwiatło — nie musiało wytwarzać w sobie tych cech; tam Rozum moŜe znaczyć takŜe — Dobro i Piękno... Wiêc tam to

wszystko nie mogłoby się zdarzyć. Dobrze jest wiedzieć, Ŝe istnieje Błękitna Planeta..."